

Lyndon Amy

Na dobre i na złe



1

Dorothy Eaton przystanąła na chwilę, drżąc z podniecenia. Chciała jeszcze raz sprawdzić, jak wygląda przed najważniejszą rozmową w swym życiu.

Dla młodej dziewczyny, która dopiero co przybyła do Nowego Jorku z prowincji, z małego Belnotch w stanie Vermont, była to trudna chwila. Zdążyła się już zorientować w miejskim systemie komunikacji metrem, jednak nie potrafiła się przyzwyczaić do bezustannie przewalających się wszędzie mas ludzi, ruchu i gwaru. Stojąc na skraju chodnika przypominała sobie czyste, rwące potoki ze swych rodzinnych stron, które nagle wydały się jej tak dalekie.

Jasne, wiosenne słońce zmieniło wystawę luksusowego salonu mody w złociste lustro, przed którym się zatrzymała. Podeszła bliżej, żeby się sobie lepiej przyjrzeć. Zabłakane promienie odbijały się od jej gęstych, rudych włosów, gdy poprawiła je zręcznym ruchem dłoni. Zadowolona z siebie, poprawiła jeszcze niewidoczną fałdkę na zielonym kostiumie.

Po drugiej stronie szyby, w sklepie, sprzedawca układał właśnie towar na wystawie, i gdy ujrzał przeglądającą się dziewczynę, o ujmującym, bardzo kobiecym wyglądzie

i zdecydowanym wejrzeniu, wydało mu się, że wszystkie „barwne ptaki Nowego Jorku”, jak je nazywał, wprost uparły się, by dokonywać ostatnich poprawek korzystając z jego okna jak z lustra.

Pewnie się z kimś umówiła, pomyślał. Widział wiele takich kobiet jak ona i uroda nie robiła na nim specjalnego wrażenia, lecz dziewczyna, która pojawiła się w oknie omal nie zwała go z nóg. Nie chodziło nawet o jej błyszczące włosy o egzotycznym odcieniu, o delikatną, zgrabną sylwetkę, ani nawet o biel błyszczących zębów. Uwagę przykuwały jej wielkie brązowe oczy, osadzone w twarzy o gładkiej, niemal śmietankowej karnacji. Odsłaniały, co działo się w głębi duszy Dorothy Eaton. Okrągłe i pełne wewnętrznego blasku, przypominały nieco łagodne oczy łani i wywarły już swoje wrażenie na chłopcach z okolicy Belnotch, dlatego przyłgnęło do niej przezwisko „Sarna”, za którym zresztą sama niezbyt przepadała.

Po chwili Dorothy zakończyła inspekcję. Była zadowolona z siebie. Nie ma odwrotu, pomyślała. Termin rozmowy zbliżał się nieubłaganie. Ostatnim spojrzeniem rzuciła na okno i rozchyliła pełne, czerwone wargi szukając śladów szminki na zębach. Gest ten tak zaskoczył będącego w środku mężczyznę, że niemal odskoczył do tyłu. Nieświadoma wrażenia, jakie wywarła na sprzedawcy, Dorothy odwróciła się i skierowała w stronę budynku rady miasta.

Szła szybkim, zdecydowanym krokiem, by dodać sobie odwagi. Za dreszczykiem emocji w obliczu nowego krył się strach, że jej się nie uda, że zostanie odrzucona. Ileż się wydarzyło przez tych parę tygodni! — westchnęła. Gdyby nie Marion, najdroższa Marion, nie miałabym się gdzie podziać. A teraz umówiła mnie jeszcze na rozmowę. Sama bym tu sobie na pewno nie poradziła.

Przy wejściu do budynku Rady Miasta, ubrany w mundur strażnik suchym głosem powiedział jej, dokąd ma się skierować. — Wydział Handlu? Trzecie piętro, druga winda na prawo — powiedział chłodno, nawet nie podniósłszy wzroku znad swych notatek. Serce Dorothy zabiło żywiej, lecz próbowała wszystko złożyć na karb obojętności, jaką zdawali się emanować ludzie z miasta. W jej rodzinnym miasteczku częstokroć przystawało się, by porozmawiać ze znajomymi, czasem nawet tylko po to, by powiedzieć komuś dzień dobry.

Czekając na swoją windę, podniosła oczy do góry i powiedziała cicho do siebie: Boże, jeżeli w ogóle mam sobie poradzić ze studiami, muszę dostać tę pracę!

Drzwi windy otwarły się przed nią bezszelestnie. W środku było już prawie pełno ludzi, patrzących pustymi niewidzącymi oczyma przed siebie. Weszła niepewnie do środka, bo wydawało jej się, że wzrok wszystkich zatrzymał się na niej.

Wydało jej się, że wstąpiła w próżnię. Jej serce zatrzymało się na chwilę, po czym zaczęło gwałtownie walić w piersi, jakby chcąc nadrobić stracony czas. Stała oto bardzo blisko, niecałe pół metra od najprzystojniejszego mężczyzny, jakiego zdarzyło jej się w życiu oglądać. Był wysoki, musiał mieć sporo ponad metr osiemdziesiąt, ubrany w doskonale skrojony ciemny garnitur. Pod opadającą na czoło grzywką ciemnych włosów, pod grubą linią brwi, znajdowały się skrzące błękitne oczy, w których Dorothy widziała spełnienie swych najskrytszych marzeń i planów. Jego spojrzenie sprawiło, że zastygła bez ruchu jak ofiara węża, który gotuje się do skoku. Zrobił na niej niesamowite wrażenie.

Co się ze mną dzieje?! wyrzucała sobie. Zachowuję się, jak niespełna rozumu. Pewnie pomyślał sobie, że jestem

pijana. Zamieniam się w słup soli na widok jednego przystojnego faceta! Chociaż... widziałam już przystojniejszych, przypomniawszy sobie. W telewizji, w kinie...

Żeby tylko dotrwała do swego piętra, pomyślała, aż do bólu koncentrując uwagę na wyłożonych drewnopodobną tapetą drzwiach windy. Na szczęście po drugiej stronie odzyskam swą błogosławioną anonimowość. Żeby tylko wszyscy stojący z tyłu przestali się teraz na mnie gapić.

Rozmyślenia przerwało jej nagle gwałtowne kołysanie zwalnijacej bieg windy, która wykonała jeszcze gwałtowny skok nim zatrzymała się na dobre. Wszyscy pasażerowie zakołysali się, próbując utrzymać na nogach, zaś Dorothy potknęła się i poleciała do tyłu, wprost w ramiona mężczyzny, który tak się jej spodobał.

— Nic się pani nie stało? — zapytał. W jego donośnym, głębokim głosie zabrzmiała nuta troski, lecz jego ton był bardzo wesoły.

Dorothy wymamrotała nieskładnie jakąś odpowiedź, przez cały czas zadając sobie pytanie, dlaczego właśnie jej musiało się to przydarzyć.

— Niemal codziennie zdarzają się tu takie rzeczy — powiedział, wyprowadzając ją z windy. — Przyzwyczai się pani za parę dni — dodał z uśmiechem, obejmując ją przelotnie. Wrócił do windy i rzucił jej na pożegnanie:

— Ale dzięki temu piękne kobiety lądują w moich ramionach. Zamykające się drzwi zasłoniły jego szeroko uśmiechniętą twarz. Dorothy stała bez ruchu, przypominając sobie jego pewny chwyt, gdy niespodziewanie zatoczyła się w jego stronę. Kto to może być? zastanawiała się.

W recepcji siedziała ładna, niezbyt szczupła brunetka, nosząca dość jaskrawy makijaż. Miała na sobie mnóstwo

małych bransoletek, które dzwoniły przy każdym jej ruchu. Uśmiechnęła się, gdy Dorothy weszła do biura.

— Czym mogę służyć? — zapytała.

Dorothy poczuła, że wraca jej pewność siebie. Rzut oka w lustro, wiszące na ścianie nie opodal upewnił ją, że incydent w windzie ani trochę nie odbił się na jej wyglądzie.

— Jestem umówiona na pierwszą z panią... — spojrzała naprędce na wizytówkę — ...z panią Shelley Britt.

Recepcjonistka znów zadzwoniła biżuterią, sprawdzając godzinę na swym zegarku z tym, co wskazywał duży zegar na ścianie.

— Panna Britt nie wróciła jeszcze z lunchu. Jeżeli zechce pani chwileczkę poczekać... — wskazała jej na rząd foteli pod ścianą i wróciła do swych zajęć.

Dorothy usiadła, udając, że zainteresował ją jeden z kolorowych magazynów, leżących na stole. Dyskretnie rozejrzała się po biurze, utrzymanym w nowoczesnym, funkcjonalnym stylu. Z licznych drzwi na przemian wchodzili to wychodzili ludzie, niosący jakieś papiery. Nie przyzwyczajona była do takiego ruchu. W Belnotch było inaczej.

Bardzo kochała miejsce, w którym się urodziła. Miasteczko Belnotch, uwiło sobie gniazdo wśród malowniczych Zielonych Wzgórz, a Dorothy też żyło się tam jak w gniazdku. Wszyscy dookoła znali Eatonów. Już od czasów rewolucji ich firma prawnicza wydawała się być trwałą częścią krajobrazu, podobnie jak wzgórz. Teraz wszystko się zmieniło.

Matka Dorothy zmarła tuż po urodzeniu dziecka. Dziwne, pomyślała Dorothy, ale dopóki nie stałam się nastolatką nie odczuwałam jej braku.

Wszyscy sąsiedzi i przyjaciele starali się jak mogli otoczyć Dorothy miłością, by wynagrodzić jej stratę matki. Znalazła sobie miejsce w ich sercach i domach. Dzięki

temu, nigdy nie czuła braku miłości. Po latach wyrosła na wierną kopię swej matki, przynajmniej tak wszyscy nieustannie powtarzali.

Jej ojciec, sędzia Eaton, nie ożenił się powtórnie, całą uwagę poświęcając córce. Mimo, że rozpieszczana, wyrosła na niezależną, pewną siebie kobietę. Nadszedł czas, że przejęła rolę pani domu. Podnosząc gazetę wyżej, by zasłonić wilgotne oczy, Dorothy przypominała sobie beztroskie młodzieńcze lata. Codziennie po szkole biegła do biura ojca, które mieściło się w białej przybudówce do ich domu na rogu Main Street. Ojciec pozwalał jej bawić się sekretarkę, do chwili gdy urosła na tyle, by zacząć się uczyć naprawdę. Nazywał ją swoim najdroższym maleństwem. Niedługo stała się jego prawą ręką. Kochany tatuś. Mam nadzieję, że dostanę tę pracę i będę miała okazję wykorzystać to, czego mnie nauczył. Pokochała jego zawód, a zwłaszcza to, że można było nieść pomoc ludziom. Muszę skończyć studia! powiedziała sobie stanowczo. Nie wiem, czy tato wyzdrowieje. Jeżeli nie, kto podtrzyma rodzinną tradycję? Jestem przecież ostatnią z Eatonów.

— Mhm!

Chrząknięcie przerwało jej wycieczkę w przeszłość. Podniosła głowę i spojrzała na recepcjonistkę.

— Przepraszam — powiedziała. — Chyba się trochę zamyśliłam.

— Na to wygląda — uśmiechnęła się przyjaźnie dziewczyna. — Chrząknęłam już po raz drugi.

Dorothy wstała, wyglądając spódnice.

— Czy panna Britt chce już ze mną rozmawiać? — zapytała.

— Niezupełnie — dziewczyna wykrzywiła twarz, wyrażając tym swe współczucie dla Dorothy. — Panna Britt właśnie telefonowała i powiedziała, że się spóźni, bo ma

sprawę „nie cierpiącą zwłoki”. — Mówiąc to dziewczyna wykonała jakiś dziwny gest obiema dłońmi, którego Dorothy nigdy przedtem nie widziała. Zapamiętała go sobie jako kolejną rzecz, o którą powinna zapytać Marion po powrocie do domu.

— Szkoda — powiedziała rozczarowana Dorothy.

— Trudno — zawyrokowała pulchna recepcjonistka, załamując dłonie. — Tak czy owak mam teraz przerwę na lunch. Może byśmy gdzieś poszły razem na kawę? — zaproponowała.

— Wspaniale! — zgodziła się Dorothy. — Chętnie bym się czegoś napiła.

Schyliła się po torebkę i dołączyła do dziewczyny.

— Chodźmy — zarządziła recepcjonistka i wzięła ją pod rękę.

Po drodze do kawiarni dziewczyny wymieniały grzeczności, jednak mówiła głównie recepcjonistka. Nim zdążyły zamówić i usiąść przy stoliku z filiżankami gorącego napoju i talerzykiem sałatek, Dorothy zdawało się, że zna dziewczynę od bardzo dawna.

Nazywała się Marty Green, pochodziła z Nowego Jorku i od trzech lat pracowała w Radzie Miasta. Mieszkała z rodzicami, uwielbiała wprost włoską kuchnię i poważnie rozglądała się za kandydatem na męża. Ilekroć miała czas, chodziła na dyskoteki i nie przepadała za swoją szefową.

Dorothy przerwała potok jej wymowy pytaniem:

— Kto jest twoją szefową?

— Jedna jedyna w swoim rodzaju, panna Shelley Britt. Między sobą nazywamy ją Skorupa, ale ty z pewnością wyrobisz sobie swoje zdanie na jej temat. Teraz opowiedz mi coś o sobie — poprosiła Marty i zajęła się sałatką.

Dorothy odsunęła na bok to, co Marty opowiedziała

o pannie Britt, czując, że może być z Marty zupełnie szczerą. Dotąd nie miała zbyt wielu okazji porozmawiać z kobietą w swoim wieku.

— Nie mam zbyt wiele do powiedzenia — zaczęła z wahaniem w głosie. — Niedawno przyjechałam do Nowego Jorku. Wszystko tutaj dzieje się tak szybko, że trochę się boję i czuję się zagubiona. Szukam pracy, która pozwoli mi opłacić studia prawnicze. Miałam nadzieję, że znajdę coś mniej eksponowanego, ale przez myśl mi nie przeszło, że będę miała szansę pracować w Radzie! Mogę ci się wydać trochę staromodna, ale tak właśnie czuję.

Marty Green słuchała z uwagą, dodając sosu do sałatki, a raczej jej mizernych resztek, na które mimo to patrzyła z apetytem. Odpowiadając na pytania Marty Dorothy opowiedziała jej o chorobie ojca, o tym, że koszty leczenia i pobyt w sanatorium bardzo wiele kosztowały i poważnie nadweryły rodzinne oszczędności. Jej ojciec nie wiedział o tym, ale nawet niewielki spadek, który matka przeznaczyła na jej studia, musiał pójść na opłacenie kosztów leczenia ojca.

— Nowy Jork wybrałam nie tylko dla studiów medycznych, ale przede wszystkim dla pieniędzy — zakończyła Dorothy.

Marty przełknęła ostatnią porcję sałatki.

— Nieźle — skomentowała, odkładając sztućce. — A teraz opowiedz mi o swojej dobrej wróżce.

— O Marion? Nigdy nie myślałam o niej jak o dobrej wróżce, ale wydaje mi się, że masz rację. To najprawdziwsza wróżka! — Dorothy uśmiechnęła się na wyobrażenie Marion machającej czarodziejską różdżką. Opowiadałam ci, że u niej na balkonie rosną drzewa?

Jako dziecko Dorothy traktowała Marion jak starą dziwaczkę. Była bardzo popularną malarką i miała zwy-

czaj ubierać się dość ekstrawagancko. Od niepamiętnych czasów przyjeżdżała do Belnotch na lato, by odpocząć. Jej prostolinijność i zwyczaj mówienia prawdy w oczy odpychał od niej niektóre osoby, lecz ci, którzy zadali sobie trud bliższego jej poznania, jak ojciec Dorothy, szybko zdawali sobie sprawę, że Marion wprost nie znosi tracić czasu. Ojciec nie bronił jej spotykać się z artystką, więc powoli przekonały się do siebie i zostały bardzo dobrymi przyjaciółkami.

Gdy Dorothy znalazła się w trudnej sytuacji, wkroczyła do akcji rozwiązując najważniejsze problemy dziewczyny. Przede wszystkim nie chciała dopuścić, by dziewczyna mieszkała sama w Nowym Jorku. Oddała jej do dyspozycji bardzo ładnie wykończone mieszkanie w suterenie swego domu. Ponadto, gdy poszukiwania pracy na własną rękę okazały się daremne, umówiła ją na rozmowę z panną Britt. Dziewczyna miała wrażenie, że nikt nie odmawia Marion, bez względu na to, o co prosi. — Wygląda na to, że sporo ostatnio przeszłaś — zauważyła Marty, zapalając papierosa.

— To jeszcze nie wszystko! — skrzywiła się Dorothy. — Poczekaj, nie mówiłam ci jeszcze o najgorszym — zachichotały, jak szkolne przyjaciółki-nierozłączki.

Dwie głowy, jedna ciemnowłosa, druga ruda, zbliżyły się do siebie i Dorothy zaczęła opowiadać koleżance, o tym co przydarzyło jej się tego dnia w windzie. Ze szczegółami opisała przystojnego mężczyznę, nie wspominając jednak ani słowem o wrażeniu, jakie na niej zrobił. Nawet teraz, gdy mówiła o nim, zaczerwieniła się przypominając sobie widok jego atletycznie zbudowanego ciała. Zaskoczona swą reakcją, cieszyła się ze wspomnienia, nie sądziła jednak, by kiedykolwiek znów się ujrzeli.

Marty wstała gwałtownie, trącając stolik i pokazując na zegarek.

— Przepraszam, że ci przerywam, ale jestem już spóźniona. Stara Skorupa obedrze mnie żywcem ze skóry — z tymi słowy rzuciła się do wyjścia nie patrząc na koleżankę.

Po drodze do biura Marty nuciła jakąś melodię i uśmiechała zagadkowo, jak kot, który właśnie upolował mysz. Dorothy zastanawiała się, czy przypadkiem nie miało to czegoś wspólnego ze wspomnianym przez nią mężczyzną, ale nie śmiała zapytać, przygotowując się psychicznie do rozmowy.

W biurze Marty skonstatowała z ulgą, że Skorupa jeszcze nie wróciła, więc Dorothy nie pozostawało nic innego, jak czekać. Marty zajęła miejsce koleżanki, która zastąpiła ją na przerwę i wróciła do pracy, nie zwracając uwagi na Dorothy. Ta posłała jej kilka pytających spojrzeń, ale nie dostała na nie odpowiedzi. Minuty wlokły się powoli. Dorothy miała zamiar wstać i zapytać Marty, czy powinna dalej czekać na pannę Britt, gdy nagle z impetem otworzyły się drzwi, przez które weszła szczupła, atrakcyjna blondynka, ubrana w modny, wiosenny płaszcz w pastelowych kolorach. Przemknęła przez recepcję jak błyskawica. Za nią podążało w takim samym tempie trzech mężczyzn niosących teczki z dokumentami. Weszli za nią do jej gabinetu, skąd po jakichś dziesięciu minutach wyszli. Jeden wytarł sobie czoło z potu, drugi poprawił krawat, zaś trzeci porządkował jakieś papiery w teczce.

Dorothy była zafascynowana. Ledwo drzwi gabinetu zamknęły się za mężczyznami, na biurku Marty zabrzączał dzwonek. Dziewczyna poderwała się i weszła, po chwili przyzywając gestem Dorothy.

— Panno Eaton, panna Britt prosi, Z niedowierzaniem Dorothy zapytała:

— Mnie?

Marty tylko skinęła głową, lecz Dorothy dostrzegła, że dziewczyna trzyma zaciśnięte kciuki. Westchnęła, wzięła głęboki oddech, uśmiechnęła się i przestąpiła próg gabinetu, na którego drzwiach widniała wypolerowana mosiężna tabliczka z nazwiskiem: SHELLEY BRITT.

— Proszę siadać, panno Eaton — Shelley Britt wykonała dobrze wyćwiczony gest w stronę fotela z niskim oparciem. W promieniach słońca wpadającego przez okna, Shelley Britt wydawała się jeszcze piękniejsza. Dorothy usiadła. Znajdując się niżej od rozmówczyni od razu poczuła się w pozycji atakowanej.

— Czy mogę cię nazywać Dorothy? — zapytała Shelley Britt.

— B... bardzo proszę — wyjąkała zdenerwowana dziewczyna, czując, że rozmowa nie będzie przebiegać po jej myśli.

— Mów do mnie Shelley — powiedziała. Włożyła okulary w grubej oprawie, które większość czasu spędzały wisząc na złotym łańcuszku na szyi, i otworzyła dużą, szarą teczkę, leżącą na biurku.

Dorothy przestraszyła się, bowiem ton jej głosu przypominał raczej rozkaz dawany służbie. Czekwała w milczeniu na następne słowa Shelley.

Kobieta tymczasem skończyła czytać i zwróciła się do niej:

— Nie będę niczego owijać w bawełnę, Dorothy. Masz znakomite referencje, a my tutaj bardzo potrzebujemy kogoś takiego jak ty. Burmistrz utworzył właśnie nadzwyczajną komisję do spraw inwestycji, której zadaniem będzie ożywienie gospodarcze miasta poprzez ściąganie kapitału zagranicznego. Szefem komisji jest pan Barron Armour, znakomity prawnik i geniusz w swej profesji. — Shelley przerwała i pozwoliła sobie na uśmiech. — Jestem osobistą asystentką Bar... pana Armoura — wstała i ude-

rzyła znacząco w teczkę trzymanym w dłoni ołówkiem. —
Będiesz pracowała dla mnie. Nie dostaniesz etatu i będziesz tu
pracowała tylko tak długo, jak długo będzie działała komisja. Czy
wyrażam się jasno?

Dorothy skinęła głową, przyjmując do wiadomości wszystko, co
jej powiedziano. Shelley ciągnęła:

— Ja będę ci zlecała prace i przede mną będziesz odpowiadać za
ich wykonanie. Z wyjątkiem rzadkich zresztą spotkań z panem
Armourem, będziesz pracowała głównie ze mną. Rozumiesz? —
zapytała z naciskiem.

Dorothy znów przytaknęła, zastanawiając się, dlaczego tak jej
zależało na osobistym kontakcie z panem Armourem.

— Więc dobrze — zakończyła Shelley wychodząc z biurka i
kierując się w stronę drzwi. — Możesz już dzisiaj zacząć zarabiać
pieniądze. Panna Green pokaże ci biurko i zorientuje cię w pracy
naszego działu.

Dorothy wstała z fotela. Uścisnęła wyciągniętą dłoń i zamknęła
za sobą drzwi. Wreszcie dotarło do niej, że została przyjęta. Mam
pracę!

Marty ucieszyła się, że jej nowa koleżanka będzie pracować
razem z nią i z radością wprowadziła ją w zasady funkcjonowania
biura. Gdy Shelley wyszła, mówiąc, że nie należy jej oczekiwać z
powrotem tego dnia, wszyscy odetchnęli z ulgą. Dorothy wyczuła
jakieś napięcie między dwoma kobietami, lecz nie mając pojęcia,
co może być jego przyczyną, przestała sobie tym zawracać głowę.
Marty przedstawiła ją kilku innym młodym dziewczynom i
mężczyźnie o wyglądzie podrywacza, z którymi miała pracować.
Całe popołudnie Dorothy spędziła wdrażając się do pracy.

Zaznajomiła się z godzinami pracy, planami spotkań komisji i
zadaniami, jakie przed nią stały. Odniosła wrażenie, że każde z
biur działało według własnego sys-

temu. Nauczyła się obsługiwać centralę telefoniczną i czuła się bardzo szczęśliwa. Uśmiechnęła się do Marty.

— Wiesz, tak bardzo się cieszę, ale chyba nigdy sobie tego wszystkiego nie poukładałam w głowie.

— Nie martw się. Za parę dni będziesz tu starym wyjadaczem. — Marty pogrzebała w swoim biurku i wyjęła stamtąd kalendarzyk.

— Prawdę mówiąc radzisz sobie tak dobrze, że pozwolę ci samej zostać na posterunku.

Dorothy podniosła głowę i zorientowała się, że w całym biurze ze wszystkich pracowników pozostały tylko one dwie. Przeraziła się. — Co ty wygadujesz? Marty, nie zostawisz mnie tu chyba samej? Marty zarzuciła torbę na ramię i z uśmiechem na twarzy skierowała się do wyjścia.

— Myszy tańczą, gdy kota nie czują. Nie martw się, nikt o tej porze tu nie zagląda. Do jutra.

Dorothy została sama, nie wiedząc, co ma robić. Bała się, że zaraz ktoś zadzwoni, a ona nie będzie wiedziała, co odpowiedzieć. Niemniej jednak podobało jej się, że od razu musi się przestawić na rytm pracy w biurze. Minuty mijały, a ona kręciła się po biurze, co jakiś czas zerkając na konsolę centrali telefonicznej. Zegar wskazywał już kwadrans po piątej i dziewczyna zaczynała sobie powoli gratulować, że udało jej się spędzić dzień bez zrażenia sobie kogokolwiek i przygotowywała do wyjścia, gdy nagle dostrzegła światelko na konsoli.

Mam odebrać, czy nie? Czy ten ktoś nie wie, że już jest po piątej? A może to coś poważnego? Co robić?

Wrodzone poczucie obowiązku nie pozwoliło jej długo się wahać. Musiała przynajmniej sporóbować. Trudno, nic mnie to przecież nie kosztuje. Przełknęła ślinę, podnosząc słuchawkę i naciskając mrugający guzik.

— Komisja do spraw inwestycji — powiedziała, siląc

się na pewne brzmienie głosu, co wcześniej znakomicie udawało jej się w biurze ojca. — Przepraszam, ale dzisiaj biuro jest już nieczynne, czy mógłby pan zadzwonić jutro?

W głębi ducha miała nadzieję, że mężczyzna po drugiej stronie zadowolony był tym wyjaśnieniem.

— Zamknięte? Niemożliwe. Przecież ktoś odebrał telefon. Z kim mam przyjemność? — Głęboki głos mężczyzny miał z lekka znajome brzmienie, lecz Dorothy nie mogła sobie przypomnieć, skąd go zna. Nie było jednak czasu na zastanowienie.

— Mówi panna Eaton. Może ja będę mogła panu w czymś pomóc?

— Może — odpowiedział takim tonem, jakby oczekując, że go rozpozna. — Potrzebuję stenotypistki, bo muszę podyktować ważną notatkę służbową. Czy mogłaby pani kogoś dla mnie znaleźć? — Przepraszam pana, ale wszyscy pracownicy wyszli już do domu. Ale jeżeli to takie pilne, chętnie panu pomogę — jeżeli mi pan powie, gdzie pana znaleźć.

— Nie tak szybko, moja panno! — powiedział, zanosząc się śmiechem. — Pracuje tu pani od niedawna, prawda?

— Tak, proszę pana — przyznała Dorothy.

— To mi wiele wyjaśnia. Kto panią przyjął do pracy? — w głosie mężczyzny zabrzmiała nutka współczucia.

— Panna Britt, proszę pana — dziewczyna poczuła się pewniej.

— Jestem jej asystentką.

— Znakomicie! Czy umie pani stenografować?

— Tak, ale...

— Żadnych ale! Proszę zaraz przyjść do mojego gabinetu.

— Ale...

— Natychmiast!

Dorothy uśmiechnęła się, biorąc oddech.

— Ale gdzie jest pański gabinet? — wtrąciła wreszcie.

Śmiech mężczyzny omal nie rozsadził słuchawki. Minęło sporo czasu, nim zdołał złapać oddech.

— Przepraszam, panno Eaton. Zapomniałem, że jest pani tu nowa. Nazywam się Barron Armour, a mój gabinet jest tuż nad panią, na czwartym piętrze — jego głos zabrzmiał miękko. — Proszę zaraz przyjść.

Barron Armour! Sam dyrektor komisji! Dorothy długo nie mogła otrząsnąć się z szoku.

Czekając na windę, pospiesznie wygładzała zmarszczki na zielonej spódnicy.

Muszę wypaść jak najlepiej, pomyślała. Kogoś o takim nazwisku wyobrażała sobie jako bogatego, starego człowieka, który większość życia przesiedział w dyrektorskim fotelu.

Przynajmniej jego głos wykazywał odrobinę zrozumienia. Z tą myślą weszła do jego biura.

Było puste. Przez uchylone drzwi, które położeniem odpowiadały wejściu do gabinetu Shelley piętro niżej, rozległ się ten sam znajomy głos mężczyzny:

— Proszę wejść, panno Eaton. Bardzo proszę.

Gdy znalazła się w środku, ujrzała postawnego mężczyznę w koszuli, który znaczył coś na mapie. Dorothy poczuła, że gdzieś kiedyś widziała już tę głowę. Jednak nie, niemożliwe.

Mężczyzna przemówił znowu, nie przerywając pracy na mapie.

— W pośpiechu zapomniała pani pewnie notatnika. Papier znajdzie pani na biurku.

Jaki przewidujący, pomyślała z podziwem, biorąc z biurka narecze papieru. Szukając w torebce czegoś do pisania wypuściła z rąk kartki papieru, które rozsypały się po podłodze. Słyszając szelest papieru, mężczyzna odwrócił się i oboje chwycili ten sam kawałek papieru. Ich dłonie zetknęły się.

Nie musiała nawet podnosić głowy. To był on! Jej szef,

Barron Armour i mężczyzna z windy to jedna i ta sama osoba! Spróbowała wstać, lecz w tej samej chwili zaczepiła obcasem o fałdy dywanu i przewróciła się.

Barron Armour stanął nad nią z wyrazem zatroskania w oczach, lecz gdy ujrzał, że nic jej się nie stało, jego twarz rozjaśniła się w łagodnym uśmiechu.

Dorothy spojrzała w górę na mężczyznę swoich marzeń i widząc jego uśmiech pomyślała, że bawi się jej kosztem. Podnosząc się niezgrabnie, odtrąciła jego wyciągniętą dłoń.

— Z czego się pan śmieje? — zapytała ze złością. — Nie powinien się pan cieszyć z cudzego nieszczęścia, bez względu na to, kim pan jest.

Z tymi słowy wybiegła z gabinetu, zatrzaskując za sobą drzwi.

Barron Armour długo stał w miejscu, patrząc z szeroko otwartymi ustami na zamknięte drzwi.

2

— Och Marion, nie masz pojęcia, co przeszłam! — za-szlochała Dorothy.

Obie siedziały na wygodnym tapczanie w mieszkaniu tej ostatniej. Marion Weathers, siwowłosa kobieta o dobrotliwym wyglądzie, podała właśnie gorącą czekoladę, którą przed chwilą przyrządziła w małej kuchence Dorothy. Obie trzymały bose stopy w gęstwinie włochatego dywanu wyścielającego podłogę. Dorothy miała na sobie flanelową piżamę, na którą narzuciła gruby szlafrok ojca. Marion zaś ubrana była w różową koszulę nocną i jasną włóczkową kamizelkę, która kontrastowała z jej opaloną skórą. Marion wyglądała na osobę, która dużo czasu spędza na świeżym powietrzu, o czym świadczyła jej ogorzała cera.

— Uspokój się, moja mała — powiedziała łagodnie Marion.— A przede wszystkim opowiedz mi, co się stało.

Godzinę wcześniej Dorothy wpadła jak burza do mieszkania Marion, wyglądając jakby ścigał ją co najmniej pies Baskervilleów, plotąc coś niezrozumiałego. Marion spokojnie przerwała swoje zajęcia i wymogła na dziewczynie, by ta wzięła najpierw prysznic i przebrała się, zanim zaczną dalej zajmować się jej problemami. Ta rada przyniosła oczekiwany efekt: Dorothy uspokoiła się. Gdy

podniosła do ust kubek pachnącego napoju, przypominały, jej się chwile spędzone w domu.

— Wszystko zaczęło się wspaniale — powiedziała. — Od razu mnie przyjęli, oczywiście dzięki twoim referencjom.

Zaprzyjaźniłam się z fantastyczną młodą dziewczyną, która też tam pracuje. Dostałam nawet swoje własne biurko. Wszystko popsuł ten okropny facet!

Marion nie miała własnych dzieci, jednak o córkę swego starego przyjaciela, sędziego Eatona, troszczyła się jak o swoją własną. Przed niecałą godziną Dorothy wróciła bardzo zaniepokojona z rozmowy, którą sama jej przecież załatwiła.

— Nie tak szybko, moja panno. Co za straszny mężczyzna? — zapytała.

Dorothy opowiedziała wszystko. Z typową dla Eatonów szczerością nie pominęła ani jednego szczegółu od momentu spotkania oszłamiająco przystojnego mężczyzny w windzie do tego, co stało się w jego gabinecie. Zakończyła opisując wymownie, jak ze łzami w oczach biegła do domu.

— Zawaliłam i muszę się do tego przyznać. Nie mogę już tam wrócić. Jak można było się tak głupio zachować? — wyrzucała sobie.

Możność podzielenia się przeżyciami dnia uspokoiła ją na tyle, że potrafiła trzeźwiej spojrzeć na to, co zaszło w biurze Barrona Armoura. Nie mogła też zaprzeczyć, że do całego nawału uczuć dołączyło jeszcze jedno, dotychczas nie znane jej młodemu sercu. Gdy skończyła, Marion przytuliła ją serdecznie do siebie.

— Nie masz sobie czego wyrzucać, kochana. Wszystko da się naprawić. — Tu Marion nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, na co Dorothy zareagowała ze zdziwieniem. Marion kontynuowała:

— Pamiętam Barrona od czasów, gdy był jeszcze taki

mały — pokazała dłonią mniej więcej na wysokości niskiego stolika. — A ty nie jesteś pierwszą dziewczyną, na której wywarł tak olbrzymie wrażenie. Barron ma dar rzucania na kolana wszystkich kobiet, odkąd nauczył się chodzić. Odziedziczył to po matce, bardzo pięknej kobiecie.

Marion wstała i spojrzała na swą podopieczną. Tym razem ton jej głos brzmiał poważnie.

— Chyba nawet sam nie zdaje sobie sprawy z wrażenia, jakie wywiera na kobietach. Na szczęście po ojcu został mu ujmujący sposób bycia. Inaczej nie wysłałabym cię do niego. Uwierz starej kobiecie, nie masz się czego bać z jego strony.

— Ależ Marion! On się ze mnie śmiał! — zaprotestowała Dorothy. Mimo, że jej dzień w biurze zaczynał nabierać zupełnie nowych, mniej rozpaczliwych wymiarów, istniało jeszcze wiele rzeczy, których nie rozumiała.

— Jestem pewna, że zaszło jakieś nieporozumienie — uśmiechnęła się kobieta. — Oboje jesteście przecież bardzo mili. Barron jest zbyt wrażliwy, by śmiać się z czyjejś niedoli. Nigdy nie potrafi się długo gniewać. Na ile go znam, wydaje mi się, że był tak samo jak ty zaskoczony całą sytuacją.

— Gdybym tylko na niego nie krzyknęła! — wyprostowała się nagle Dorothy. — Zachowałam się bardzo dziecinnie.

Marion wzruszyła ramionami.

— Wszystko wyjaśni się w swoim czasie.

— Ale czułam się dziwnie w jego obecności.

— Kochanie, po prostu zaczęłaś odczuwać to, że jesteś kobietą. Cierpisz, bo po raz pierwszy w życiu się zakochałaś. Ale to minie

— zawyrokowała Marion, kładąc delikatnie rękę rąkojki Dorothy.

— Nie przejmuj się, los ma zwyczaj płać nam różne figle.

— Lepiej, żeby zaraz minęło, bo nie wiem, jak sobie

poradzę w pracy. Zamieniam się w kamień za każdym razem, kiedy go widzę — pokręciła głową dziewczyna.

— Widzisz? Już jest lepiej — powiedziała Marion, popychając dziewczynę w stronę sypialni. — Teraz idź do łóżka, bo się spóźnisz do pracy.

Dorothy rzeczywiście czuła się lepiej. W drzwiach sypialni odwróciła się i z wdzięcznością pocałowała Marion w policzek. — Najdroższa Marion. Dziękuję ci za... wszystko. Otulona ciepłą, miękką kołdrą przywiezioną z domu, czuła, że jest spokojna. Dzięki Bogu, że jest ktoś taki jak Marion. Gdzieś w zakamarkach jej pamięci tułały się jeszcze pytania, które chciała zadać, zwłaszcza na temat Shelley Britt, lecz nadchodząca fala snu rozmyła je w niebyt.

Następnego dnia poszło jej lepiej, niż mogła przypuszczać. Jako nowicjuszkę powitano ją w pracy brawami. Kobiety prawiły jej komplementy na temat beżowego kostiumu i jaśniejszej o parę odcieni bluzki, w które ubrała się do biura. Ze swej strony Dorothy odprężyła się, gdy zorientowała się, że nikt z jej koleżanek i kolegów nie ma pojęcia, co wczoraj zaszło w biurze Barrona Armoura. W biurze panował nieomal świąteczny nastrój. Marty po raz kolejny przedstawiła ją Philowi Cogginsowi i pozostałym dziewczynom. Phil był całkiem miły, lecz jego wymięta twarz zdradzała, że chyba nie spał całą noc. Dorothy mogła się założyć, że wiele dziewczyn pragnęłoby ukoić jego zmęczenie. Szła właśnie w stronę swojego biurka, gdy Marty zatrzymała ją w pół kroku.

— Wszystko w porządku? Nie miałaś wczoraj żadnych kłopotów? — zapytała.

— Wiesz... — Dorothy miała właśnie zamiar opowiedzieć o tym, co zaszło poprzedniego dnia, lecz nagle wszystkie rozmowy umilkły, jak ucięte nożem, nato-

miast rozdzwoniły się telefony i zaczęły terkotać maszyny do pisania.

Dorothy odwróciła się w stronę, gdzie spojrzała Marty i zauważyła, że Shelley energicznym jak zwykle krokiem wchodzi do biura. Wyglądała, jakby przed chwilą zeszła z wystawy najdroższego salonu mody w mieście. Nie oglądając się na boki i nie odpowiadając na pozdrowienia weszła wprost do swego gabinetu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Marty pochyliła się lekko w stronę koleżanki i półgłosem zanuciła, imitując tusz orkiestry: — Ta — raaa! Potem natychmiast poszła w ślad za Shelley do jej gabinetu, przystanąwszy tylko na chwilę, by wziąć z biurka jakieś dokumenty. Ledwo Dorothy doszła do swego biurka i położyła na nim torebkę, drzwi gabinetu otwarły się ponownie i ukazała się w nich Marty przywołując koleżankę. Z jej twarzy zniknął wyraz radosnego podniecenia.

— Masz zaproszenie do jaskini lwa, kochana. Panna Britt chce zaraz z tobą rozmawiać. Nie jest w najlepszym nastroju, ale rano tak zwykle bywa. Powodzenia.

— Dzięki, Marty — odparła Dorothy i nie zwlekając poszła we wskazanym kierunku. Pewnie już wie, pomyślała. Inaczej po co by ją wzywała. Powiedział jej o wszystkim. Te kilka kroków do gabinetu Shelley wydały jej się najtrudniejszą do przebycia drogą w życiu. Była pewna, że zaraz zostanie zwolniona.

Jednak wbrew swym oczekiwaniom, Shelley przywitała ją dość serdecznie. Dziewczyna odetchnęła z ulgą. Tym razem usiadła w fotelu po drugiej stronie, omijając starannie pułapkę, w którą dała się złapać poprzedniego dnia. Miała zamiar opowiedzieć Shelley o tym, co zaszło wczoraj między Barronem a nią. Miała nadzieję, że jeżeli pozna najpierw jej wersję wydarzeń, może zastanowi się choć chwilę, nim ją zwolni.

Nie miała okazji otworzyć ust. Shelley od razu przeszła do rzeczy. W krótkich słowach streściła jej zasady pracy komisji, rolę, jaką miała spełniać w rozwoju miasta i pozycję Dorothy w hierarchii służbowej. Dziewczyna podziwiała przejrzysty sposób, w jaki Shelley podawała jej informacje i poczuła dumę, że dane jej jest pracować w tak ważnej instytucji. Żałowała jednak, że nie ma okazji wyjaśnić tego, co dręczyło ją od samego początku.

Druga część monologu Shelley miała na celu wyjaśnienie jej własnych obowiązków, które uniemożliwiały jej zbyt częste przebywanie w biurze i temu, czego oczekuje od Dorothy.

— Sama widzisz, że zakres twojej pracy jest dość szeroki. Jako prawa ręka pana Armoura, większość czasu spędzam poza biurem. Twoim zadaniem będzie zaś koordynowanie i właściwy rozdział nadchodzących do nas materiałów. Będziesz mnie informować na bieżąco o rozwoju sytuacji i pełnić obowiązki mojej osobistej sekretarki. Będziesz musiała szybko się znaleźć w tej pracy, bo nie ma czasu na specjalne przygotowania. Pani Weathers zapewniła nas jednak, że jesteś bardzo zdolna — zakończyła Shelley. — Rozumiesz? — zapytała, otwierając teczkę z jakimiś materiałami, nie patrząc nawet w stronę Dorothy. Ta wreszcie dostrzegła swoją szansę. Teraz powinna jej powiedzieć. — Panno Britt, to znaczy Shelley, chciałam... — przerwało jej natarczywe pukanie do drzwi i po chwili do gabinetu wszedł Barron Armour.

Z łatwością wśliznął swe atletycznie zbudowane ciało w wąski fotel, którego tak bała się Dorothy. Serce zaczęło walić jej w piersi. Trudno, niech się dzieje, co chce! Nawet, jeżeli Shelley mnie chce, będzie na nią wściekły, że przyjęła do pracy taką nierozgarniętą dziewczynę. O Boże!

— Przepraszam, że przeszkadzam, Shelley. Wpadłem tylko, żeby zapytać, czy mógłbym cię dziś zaprosić na

lunch po porannych posiedzeniach komisji — zaczął Barron, patrząc tylko na Shelley.

Dorothy zauważyła, że w zachowaniu Shelley zaszła gwałtowna zmiana. W ułamku sekundy po wejściu Barrona do pokoju zmieniła się z wymagającej szefowej biura w mruczącą z zadowoleniem kotkę, chcącą przypodobać się swemu panu. Nawet gdyby zaczęła lizać jego dłonie, Dorothy nie czułaby się zaskoczona.

— Oczywiście, koch... panie Armour, bardzo chętnie — nie skrywała radości Shelley. — Będziemy mieli okazję porozmawiać o pewnych sprawach — uśmiechnęła się wdzięczną do gościa. Dorothy poczuła, że powinna wyjść.

— Przepraszam, czy to wszystko, panno Britt? — wstała, mając nadzieję, że pozwoli jej wyjść.

Na dźwięk jej głosu, Shelley odwróciła głowę, najwyraźniej niezadowolona, że jej ktoś przeszkadza.

— Chwileczkę, moja droga. Chciałabym cię przedstawić szefowi naszej komisji, panu Barronowi Armourowi. Panie Armour, to jest nasza najnowsza pracownica — panna Dorothy Eaton. Dorothy nie wiedziała, jak się zachować. Nigdy nie słyszała swego nazwiska wymawianego z tak wyraźną zawiścią. Nie miała pojęcia, czy powinna wstać. Jak podać rękę komuś, na kogo nie dalej jak kilka godzin temu nawrzeszczało się straszliwie? Teraz pewnie będzie się chciał zemścić. Wyrzuci mnie.

Barron nagle poderwał się. Dorothy wstała, cała się trzęsąc. Niech już będzie po wszystkim.

— Panna Eaton i ja już się znamy — podał jej rękę i potrząsnął energicznie, a jej mała dłoń utonęła zupełnie w jego wielkiej dłoni. — Spotkaliśmy się dwa razy. Obawiam się, że przeze mnie znalazła się w położeniu nie do pozazdroszczenia.

Jego usta rozjaśniły się w uśmiechu, co niemal odebrało jej mowę. Jego dłoń nie wypuszczała z uścisku jej dłoni.

— Przepraszam, panno Eaton, za to co zaszło. Mam nadzieję, że będzie się pani u nas dobrze pracować — puścił jej dłoń.

Oczy Barrona uśmiechały się, jakby robiąc aluzję do tajemnicy, która należała do nich obojga.

— Jeżeli będziesz mnie potrzebować, najpierw idę do burmistrza, a potem będę w Homer Trust. Do zobaczenia.

Jak na mężczyznę takiej postury jego kroki były zadziwiająco lekkie, podobnie jak i szybkość, z jaką wymknął się z pokoju.

Po jego wyjściu Dorothy zalała fala wdzięczności. Usiadła, obawiając się, że nie ustoi, bowiem kolana miała jak z waty.

Przeprosił mnie? Za co? Shelley spoglądała na Dorothy z mieszaniną zaskoczenia i oburzenia. Jej uwadze nie umknął ani uścisk dłoni, ani porozumiewawcze spojrzenie.

— Spotkaliście się? Dwukrotnie? — spytała z niedowierzaniem Shelley. — Tak. Pierwszy raz w windzie. Nie wiedziałam wtedy, kim jest. I wczoraj po południu. Zostałam dłużej w pracy, a pan Armour pilnie potrzebował stenotypistki. Nie na wiele mu się przydałam — wyjaśniła Dorothy.

Shelley wydawała się zadowolona.

— Rozumiem — z tymi słowy włożyła na nos okulary, które przydały jej groźniejszego wyglądu. Dorothy czuła, jak jej świdrujące spojrzenie przewierca ją na wylot.

— Niech mi będzie wolno zrobić pewną uwagę, panno Eaton — zaczęła. — Pan Armour jest niezwykle przystojnym mężczyzną -- przerwała na moment, by sprawdzić jakie wrażenie jej słowa wywarły na Dorothy.

Komu ona to mówi, pomyślała dziewczyna.

— Jest także bardzo inteligentny i piastuje bardzo

wysokie stanowisko — ciągnęła Shelley. — Czasami takie połączenie może się okazać nadzwyczaj niebezpieczne, zwłaszcza dla młodej, niedoświadczonej dziewczyny, która dopiero rozpoczyna swą zawodową karierę.

— Ale panno Britt, ja... — wtrąciła Dorothy.

— Nie musisz nic mówić — przerwała jej. — Proszę cię, potraktuj to jako przyjazne ostrzeżenie, abyś niepotrzebnie nie traciła czasu, albo czegoś sobie nie pomyślała. Powinam ci chyba wyjawić — tu uśmiechnęła się tryumfalnie — że po zakończeniu prac komisji Barron i ja zamierzamy ogłosić nasze zaręczyny. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że nie powinam się ciebie obawiać, ale mówię to dla twojej informacji, żebyśmy obie wiedziały, gdzie stoimy. To by było na tyle, panno Eaton.

Marty rzuciła Dorothy pytające spojrzenie, gdy ta wyszła z gabinetu. Dorothy powiedziała, że zaraz wraca i poszła do toalety, gdzie spryskała sobie zaczerwienioną twarz zimną wodą. Dlaczego Shelley tak się wobec niej zachowała? Przecież nie miała najmniejszego zamiaru starać się o względy Barrona Armoura. Był dla niej człowiekiem z innego świata. Poza tym, dlaczego bogaty i przystojny mężczyzna miałby zwracać uwagę na niepozbitą dziewczynę z prowincji? Musiała jednak przyznać, że Barron wywarł na niej oszałamiające wrażenie. Czula jeszcze zapach jego wody po goleniu, który pozostał w gabinecie na długo po jego wyjściu. Nic miała ochoty na żadne biurowe romanse. Wyznaczyła sobie cel i zamierzała go osiągnąć. Gdy Marty przyniosła jej od Shelley nowe narecze dokumentów do przejrzenia, umówiły się na lunch. Czas płynął bardzo szybko. Dorothy jak przez mgłę słyszała toczącą się przy sąsiednich biurkach rozmowę, z której usłyszała wyraźnie tylko parę słów, między innymi nazwisko Barrona Armoura i znane już jej przezwisko Shelley — stara Skorupa.

Dorothy skoncentrowała się na czytaniu sprawozdań, do tego stopnia, że gdy podeszła do niej Marty oznajmiając, że czas na lunch, miała zaczerwienione oczy.

Poszły do tej samej kawiarni co przedtem i usiadły przy tym samym stoliku. Marty o mało nie pękła z ciekawości. Chciała dowiedzieć się, co zaszło poprzedniego dnia w biurze, i dlaczego Shelley tak długo trzymała ją u siebie. Dorothy nie ukrywała niczego, opowiedziała jej też, jak Barron uratował ją w gabinecie Shelley, i jak bardzo czuła się dotknięta jej insynuacjami.

Podświadomie czuła, że nie wróży im to zbyt dobrej współpracy,. Marty pokiwała głową.

— Nie wiesz nawet, jakie masz szczęście, że ta pirania tylko tyle miała ci do powiedzenia. Jeżeli chodzi o Barrona, jest chorobliwie zazdrosna, a on nie zdaje sobie z niczego sprawy. W co on się pakuje? Nikt z nas w biurze nie ma pojęcia, co on w niej widzi, ale z drugiej strony obracają się w tych samych kręgach towarzyskich i, jak chyba wiesz, pobierają się. Chyba po to, żeby nie uszczuplić swoich majątków.

Dorothy musiała się z nią zgodzić. Zaprotestowała jedynie mówiąc, że nie ma żadnych planów względem Barrona, lecz musiała przyznać, że kiedy tylko pojawiał się, wnosił ze sobą powiew czegoś nieuchwytnego, czegoś nadzwyczajnego.

— Nie byłabyś kobietą, gdybyś tego nie czuła — zachichotała Marty dobrodusznie. — Taki mężczyzna to prawdziwe marzenie. Dorothy nie mogła się powstrzymać od uśmiechu widząc miny, jakie stroi jej koleżanka. Po lunchu poczuła się bardziej odprężona i zdołała zapomnieć o porannej rozmowie z Shelley. Wyszły wcześniej z kawiarni, by Marty mogła pokazać jej co ciekawsze miejsca w budynku Rady Miasta. Po-

dziwiała piękne freski, duże, stylowe sale konferencyjne i słynne obrazy, które znalazły tam swoje miejsce. Czowała, że pracuje w miejscu, gdzie dzieje się historia.

Usiadłszy przy biurku, Dorothy zauważyła kartkę od Shelley, która powiadamiała ją, że po lunchu z panem Armourem nie wróci już do pracy, ale zatelefonuje, by zapytać, czy nie ma dla niej jakichś wiadomości. Zostawiła instrukcję, w jaki sposób notatki powinny być sporządzane: godzina, nazwisko dzwoniącego i wiadomość. Obok tego leżał cały stos sprawozdań do przeczytania.

Po chwili była tak zajęta pracą, że nie dostrzegła pięknej białej róży we flakonie w rogu biurka. Nie było jej tam rano, pomyślała, gdy zdała sobie sprawę z jej słodkiego zapachu. Wyjęła kwiat i przytuliła. Aksamitne płatki kwiatu dopiero zaczynały się rozchylać, odsłaniając w samym środku delikatny różowy kolor. Róże były jej ulubionymi kwiatami, a ta wydała jej się najpiękniejszą ze wszystkich. Skąd się tu wzięła?

Wstając by się napić łyk wody z dzbanka, zauważyła małą karteczkę, opartą o flakon. Na niej, bez podpisu, widniało jedno słowo: przepraszam. Zapytała pozostałe koleżanki, ale żadna nie przyznała się do kwiatu. Marty zażartowała sobie z niej nawet, że musiał to być jej cichy wielbiciel. W nawale zajęć zapomniała jednak o tym.

Przez całą resztę dnia była tak zavalona pracą, że nie miała czasu zamienić choć słowa z Marty. Nie widziała też ani Shelley ani Barrona. Ta pierwsza zadzwoniła jeszcze koło czwartej, pytając o wiadomości i jak idzie praca. Dorothy przekazała jej wszystko, po czym Shelley podziękowała jej i odłożyła słuchawkę.

Dorothy ucieszyła się, gdy jej pierwszy pełny dzień pracy dobiegł końca. Był pełen wysiłku i obfitował w prze-

życia — najpierw strach przed wyrzuceniem z pracy, potem ulga, że tak się nie stało, no i ostrzeżenie od Shelley.

Mam nadzieję, że nie wszystkie dni będą takie jak ten. Nie wiem, czy potrafiłabym to znieść, pomyślała Dorothy, zbierając się do wyjścia. Tego dnia po raz pierwszy w życiu doświadczyła na własnej skórze, co to znaczy godzina szczytu. Skrzypienie wagonów metra i tłumy ludzi, przewalające się wszędzie, wyczerpały ją psychicznie. Gdy dotarła wreszcie do domu, czuła się bardziej zmęczona, niż po wyjściu z pracy. Ciche, przytulne mieszkanie podniosło ją jednak na duchu. Odprężyła się w gorącej, pachnącej różą kąpieli, po której przygotowała sobie sałatkę warzywną i filiżankę herbaty. Gdy zadowolona kładła się do łóżka koło ósmej, odezwał się niespodziewanie telefon.

Dzwoniła Marion, zapraszając ją na herbatę i pogawędkę. — Bardzo chętnie — odparła Dorothy. — Zaraz przyjdę, chociaż jestem wprost wykończona.

Mieszkanie Marion przypominało muzeum, z jednym wszak wyjątkiem — obrazy wydawały się wisieć porzrzucone na ścianach bez widocznego ładu i składu, lecz w pewien sposób tworzyły atmosferę domu.

Dorothy usiadła naprzeciw niej w jednym z głębokich, miękkich foteli. Marion nie zdjęła jeszcze poplamionego farbami fartucha — ten dzień też spędziła pracowicie. Przysiadła ciężko na krześle i zapytała: — Jak ci dzisiaj poszło? Bo ja miałam prawdziwą lawinę natchnienia.

Dorothy opowiedziała wszystko, koncentrując się na swej przełożonej, ale czuła się winna, opisując Shelley wyłącznie w ciemnych barwach.

— Dlaczego na mnie tak napadła? — zakończyła pełnym napięcia pytaniem.

— Nie bierz tego sobie tak bardzo do serca, kochana.

Jestem pewna, że to samo powiedziałyby każdemu, kogo uważa za potencjalną rywalkę o względy „jej” Barrona. Jest najlepszą partią w mieście i panna Shelley Britt nie zaniedbuje żadnych środków, by utrzymać go przy sobie. Przez całe lata próbowała zwabić go w swe sieci, aż wreszcie jej się udało.

— Chyba zdaje sobie sprawę, że z mojej strony nic jej nie grozi
— powiedziała Dorothy.

Przez następnych kilka godzin Marion opowiadała Dorothy o ojcu, o tym jak bardzo pomagał ubogim ze swego rejonu, jak każdy mógł do niego przyjść po pomoc, bez względu na to, czy było go stać na zapłatę. Dorothy zapałała do swego ojca jeszcze większym podziwem niż przedtem. Przypominała sobie całe godziny spędzone w jego biurze, i jak bardzo lubiła tę pracę. Ojciec zawsze znajdował czas, by podciągnąć ją w sprawach, które ją interesowały, ponad podstawowe umiejętności, które teraz tak jej się przydawały.

Dopiero gdy obie zaczęły szeroko ziewać, zorientowały się, jak szybko minął wieczór. Na dobranoc dziewczyna pocałowała Marion w policzek, pożegnała się i wróciła na dół, do swego mieszkania.

Gdy zasypiała, wydarzenia minionego dnia przesuwały się przed jej oczyma jak w kalejdoskopie, pomieszane i poplątane ze sobą. Dominującym motywem była postać Barrona. Młody i przystojny, stanął w obronie jej honoru, jak rycerze w dawnych wiekach bronili dam swego serca. Przypomnił jej się uwodzicielski zapach jego wody kolońskiej...

Natarczywe dzwonienie budzika następnego ranka uświadomiło jej, że śniła.

3

Życie Dorothy toczyło się między pracą w Radzie Miasta a mieszkaniem. Jediną rozrywką były spotkania z Marty czy przypadkowe rozmowy z pozostałymi dziewczynami pracującymi w biurze, lub też wieczorne spotkania z Marion w jej apartamencie na górze. Dorothy cieszyła się swoją pracą i nabierała w niej doświadczenia. W miarę upływu czasu przejmowała na siebie coraz więcej obowiązków Shelley. Powierzone zadania wykonywała dokładnie i szybko[^] nic więc dziwnego, że praca dawała jej wiele satysfakcji.

Bynajmniej nie tęskniła za rozrywką, poza tym chciała odłożyć tyle, ile tylko mogła, w oczekiwaniu na studia prawnicze, które miała rozpocząć w jesieni.

Z Marion stawały się sobie coraz bliższe. W czasie częstych wieczornych rozmów doznawała pocieszenia i zyskiwała wiele dobrych rad. Dorothy wierzyła, że postępuje właściwie, i że wreszcie małe zawiści ustąpią miejsca wzajemnemu zrozumieniu.

Wiosna robiła się coraz cieplejsza i dni stawały się dłuższe. Czasami, gdy szła z pracy przez miasto, myślą wracała do przyjaciół, których zostawiła w Belnotch. Bardzo tęskniła za ojcem, lecz nawał pracy nie pozwalał jej

zbyt długo o tym myśleć. W biurze większość czasu spędzała sama, i cieszyła się, mogąc być wreszcie panią samej siebie. Barrona Armoura nie widziała od dnia, gdy spotkali się przypadkiem w gabinecie Shelley, a z tą ostatnią kontaktowała się głównie przez telefon i notatki.

Dorothy wyczuwała ślad zazdrości w zachowaniu swych współpracowników, którzy jakby mieli jej za złe, że tak szybko okazała się być dobra i sprawdziła na tak trudnym stanowisku. Z drugiej strony wiedziała, że gdy poznają się lepiej, dowiedzą się, że nie jest przesadnie ambitna, i że nie ma najmniejszego zamiaru nikogo urazić. Po prostu pragnęła najlepiej jak mogła wywiązywać się z powierzonych jej zadań.

Atmosfera w biurze stawała się coraz bardziej przyjacielska.

Dorothy z przyjemnością słuchała radosnego śmiechu dziewczyny, która miała swoje biurko tuż obok jej. Miała na imię Darleen i dopiero co skończyła szkołę średnią. Potrafiła się śmiać niemal ze wszystkiego, najbardziej zaś rozśmieszał ją Phil, który wydawał się doskonale pasować do roli flirciarza biurowego.

Gdy przysiadł na biurku Darleen, ta stawała się niemożliwa.

Czasem też odwiedzał Dorothy. Zwykle rzucał jej „cześć” lub „dzień dobry” przy wejściu i rzucał w jej stronę namiętne spojżenia. Ogólnie rzecz biorąc wydawał jej się dobrze wychowany, jednak w jego towarzystwie czuła się niepewnie.

Prawdopodobnie miało to swe źródło w fakcie, że przez cały czas uprawiał gry słowne — coś, co można było rozumieć na dwa, zupełnie różne sposoby, do czego Dorothy nie była przyzwyczajona. Potrafiła jednak odpędzić go od siebie nie raniąc jego uczuć. Wraz z Marty bardzo często chodziły na lunch do znanej już kawiarni, czasem wybierały się też w inne miejsca, gdzie podawano niezbyt drogie posiłki. Dorothy miała okazję skosztować egzotycznych potraw, jakich

u niej w domu nigdy się nie przyrządzało. Najbardziej polubiła smak kuchni chińskiej.

Pewnego dnia, gdy razem wracały z lunchu, który tym razem składał się z jogurtu i wody mineralnej, zdecydowały się odpocząć chwilę w parku i popatrzeć na to, co dzieje się w mieście. Potem wolnym krokiem skierowały się do ratusza, gdy nagle jak spod ziemi pojawił się przed nimi Barron Armour. Cała trójka zatrzymała się i zaczęła rozmawiać o niczym. Marty natychmiast zauważyła, że uwaga Armoura przez cały czas koncentrowała się na Dorothy, sama więc zρέcznie przeprosiła i czmychnęła do biura. Wtedy Barron zapytał:

— I jak pani sobie radzi, panno Eaton?

— Doskonale, proszę pana. Pracuje mi się bardzo dobrze.

— Tak właśnie słyshałem — skinął głową Barron. — Same znakomite opinie o pani. Niektóre z pani opracowań trafiły i na moje biurko. Podziwiam pani pracowitość i uwagę, jaką zwraca pani na szczegóły. Bardzo rzadko zdarza się, że ktoś tak szybko znajduje się na miejscu w pracy komisji.

— Dziękuję panu — zaczerwieniła się Dorothy. — Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony z mojej pracy — odwróciła się, by odejść, uradowana z komplementu.

Barron dotknął jej ramienia zatrzymując ją.

— Proszę jeszcze nie odchodzić, panno Eaton.

— Tak, panie Armour? — Dorothy nie wiedziała, jak powinna zareagować.

— Od jakiegoś czasu pracujemy nad projektem, o którym nie wszyscy powinni wiedzieć, a który, jak mi się wydaje, odpowiada kierunkowi pani pracy. Czy sądzi pani, że znajdzie trochę czasu dla mnie?

Dorothy z całych sił starała się zachować przytomność umysłu.

Dotyk dłoni Barrona powodował, że odżyły w niej

wspomnienia sprzed trzech tygodni. To szaleństwo, pomyślała. Co mężczyzna, którego przecież prawie nie znam, może ze mną zrobić. Ten człowiek po prostu rzucił na mnie jakiś urok.

— Z przyjemnością panu pomogę, panie Armour. Oczywiście będzie to zależało od zgody panny Britt. — Dorothy miała zamiar dodać, że poprosi o nią, jak tylko się z nią zobaczy, lecz w tej samej chwili pojawiła się Shelley we własnej osobie i kroczyła naprzeciw nich z niezbyt przyjaznym wyrazem twarzy.

— Kogóż to ja widzę! — zaczęła groźnie, z pewnością źle odczytując widok dłoni Barrona na ramieniu Dorothy.

Dorothy natychmiast zaczęła się tłumaczyć:

— Panno Britt, właśnie miałam zamiar powiedzieć panu Barronowi, że...

Barron, zauważając ostre spojrzenie Shelley, zabrał dłoń z ramienia Dorothy.

— Pozwól mi wyjaśnić, proszę — zaczął. — Shelley, mam pilne opracowanie związane z pracami komisji i muszę je mieć gotowe jak najszybciej. Przeszedłem właśnie tutaj, żeby poprosić cię o wypożyczenie na jakiś czas panny Eaton. Jestem pewien, że wyniki, które osiągnęła do tej pory, są w stanie zagwarantować, że wywiąże się doskonale z powierzonego zadania.

Oczy Shelley błysnęły złowrogo, lecz głos zachował resztki dobrego wychowania.

— Oczywiście, panie Armour. Przecież wcale nie musiał pan pytać, wszystko, co pan potrzebuje, jest zawsze do pana dyspozycji — ludzie, sprzęt, wszystko.

Z tymi słowy odwróciła się na pięcie i zostawiła ich dwoje na korytarzu. Po drodze do gabinetu wydawała pracownikom polecenia. Dorothy zauważyła, jak zaskoczony Phil zeskakuje z biurka Darleen, widząc zbliżającą się nawałnicę.

— Niech się pani nie przejmuję, panno Eaton. Przejdzie jej — odezwał się Barron. — Muszę panią jednak ostrzec, że będzie pani musiała zostać trochę dłużej w pracy w związku z tym projektem. Czy nie będzie to kolidowało z pani planami?

— Nie, skądże znowu. Wieczorami zwykle nie robię nic innego, tylko gapię się w telewizor.

— Doskonale. Wracam do biura koło piątej i chciałbym się z panią zaraz spotkać. Dobrze?

— Będę u pana o piątej.

Dorothy od razu została wezwana do gabinetu Shelley Siedziała wyprostowana, tymczasem Shelley wyliczała coraz to nowe błędy w jej pracy, nawet w tym, co przedtem jej się podobało. Dorothy wiedziała, że Shelley ma jej za złe spotkanie z Barronem i chciała wyjaśnić, że nic między nimi nie zaszło, lecz czuła, że to wszystko może tylko pogorszyć jej sytuację. W tym, co mówiła Shelley słychać było wyraźnie nutkę ostrzeżenia. Dorothy próbowała ją udobruchać, przyznając się do nieistniejących błędów.

— Dziękuję panno Britt, za pani uwagi. W przyszłości postaram się lepiej. Zapewniam, że nic takiego się więcej nie powtórzy.

Czy wolałaby pani, żebym nie pomagała panu Armour? A może wyznaczyłaby pani do tego kogoś innego?

Shelley zmierzyła ją wzrokiem przez chwilę, zanim odpowiedziała.

— Nie, chyba nie. Prosił o ciebie. Najwyraźniej podoba mu się styl twojej pracy. Ale proszę nie zapominać że łączą was stosunki czysto służbowe.

— Zapewniam panią, panno Britt, że nigdy mi przez myśli nie przeszło, że tak zostanę zrozumiana — wtrąciła Dorothy.

— Nie trzeba, panno Eaton — przerwała jej Shelley. — Jestem pewna, że potrafisz się zachować.

Mimo szczerego postanowienia, że jej stosunki z Armourem rozgrywać się będą wyłącznie na płaszczyźnie służbowej, im bliżej było godziny piątej, tym bardziej nie mogła się opędzić od natarczywych myśli o Barronie. Próbowwała się uspokoić, bowiem za wszelką cenę chciała uniknąć powtórzenia tego, co stało się przedtem. Wyciągała właśnie puderniczkę, by doprowadzić swój wygląd do porządku, gdy zadzwonił telefon.

— Halo, tu mówi Barron Armour. Panno Eaton, bardzo mi przykro, ale nie będziemy mogli się dzisiaj spotkać w sprawie projektu.

Dorothy położyła słuchawkę na widełki. Barron nie potrzebował jej. Z zaskoczeniem stwierdziła, że zamiast westchnąć z ulgą, że nie musi zostawać po godzinach, była rozczarowana. Od chwili, gdy spotkała Barrona, nie przestawała o nim myśleć. Za wszelką cenę chciała mu udowodnić, że miał rację biorąc ją w obronę trzy tygodnie temu, gdy zaczynała pracę. Miała też zamiar udowodnić Shelley, że ani jej w głowie odbijać jej narzeczonego. Siedząc przy biurku zastanawiała się, co też Marion Weathers mogła mieć na myśli mówiąc, że los płąta nam różne figle.

Właśnie wtedy Phil, dziwnym zbiegiem okoliczności, wyszedł z gabinetu. Zatrzymał się przy biurku Dorothy.

— No, no. Najmłodszy członek naszej szczęśliwej rodzinki ma bardzo niewyraźną minę, co wydaje się dziwne, bo kończy się już czas pracy. — Phil prawie przysiadł na brzegu biurka Dorothy, tak jak to robił wiele razy z innymi dziewczynami.

— Mhm. Nie ma powodu, pani Coggins. Tylko się zastanawiałam. — Dorothy zdobyła się na uśmiech, dumna z siebie, że zapamiętała już wszystkie nazwiska.

— Powiedziałem ci, żebyś mówiła do mnie Phil. Bawidamek i światowiec — skłonił się komicznie przed nią.

— W porządku, Phil. — Jego chłopięcy dobry humor poprawił Dorothy nastrój.

— Teraz lepiej — powiedział, przyglądając swe kręcone, rude włosy.

— Nie martw się o mnie, wszystko w porządku — odparła.

— Szczerze mówiąc znam doskonale lekarstwo na złe dni.

Kolacyjka w mieście. Oczywiście w towarzystwie Phila

Cogginsa. Do usług.

— Dzięki, Phil, ale niestety nie mogę.

— Jestem pewien, że możesz. Darleen zostawiła mnie samego, wymawiając się odwiedzinami u chorej ciotki. Moje biedne ego potrzebuje towarzystwa. Mogę cię zapewnić, że chodzi tu o czysto platoniczny romans. — Phil zabawnie zmarszczył brwi. — Jeśli oczywiście nie będziesz nalegała, żeby było inaczej.

Dorothy rozbawiły jego żarty, i ku swemu zdziwieniu, przyjęła zaproszenie. Kolacja zaczęła się bardzo miło. Dorothy z zadowoleniem stwierdziła, że warto było przygotować się na ten wieczór. Włosy jej układały się miękko, połyskując w świetle świec we włoskiej restauracji, do której się wybrali. Czerwony obrus w kratę i wosk, kapiący ze świec, potęgowały romantyczny nastrój. Phil był zaskakująco uprzejmy i grzeczny.

Ale tylko na początku. W miarę opróżniania butelki wina, stawał się bardziej natarczywy i mówił coraz głośniej. Wino wywoływało w nim najwyraźniej zmianę osobowości. O ile przedtem był spokojny i opiekuńczy, o tyle pod koniec kolacji stał się zupełnie innym mężczyzną, który nie krył swego nią zainteresowania. Kiedy strącił widelec na podłogę i poplamiał obrus, natychmiast obwinił o wszystko kelnera. Dorothy zaczęła się niepokoić.

— Chciałabym już pójść do domu, Phil — powiedziała. On jednakże udał, że nie słyszy. Zamiast tego, za-

czał pozwalać sobie na coraz mniej wybredne aluzje. Dorothy poczuła się bardzo nieswojo. Miała już tego dosyć i chciała wyjść.

— Proszę, odprowadź mnie do domu — poprosiła. Wstała od stolika, a Phil rzucił na blat kilka "zmiętych banknotów i poszedł za nią niezbyt pewnym krokiem.

Dorothy zatrzymała się w holu, aby włożyć lekki wieczorowy płaszcz. Była wściekła, że jej pierwsza randka w Nowym Jorku okazała się zupełnym niewypałem. Teraz pragnęła tylko dostać się do domu i zanurzyć w gorącej kąpieli. Patrząc na uśmiechnięte pary wchodzące do klubu, dziewczyna poczuła w sercu ukłucie zazdrości. Spojrzała na grupkę dziesięciu osób, wychodzących z taksówek i stojących przy wejściu do klubu, roześmianych i radosnych. Phil dogonił ją i niespodziewanie objął, mamrocząc: — Hej, moja śliczna. Nie powinnaś tak traktować dżentelmena. Nie wiesz, jak należy podziękować? Dorothy odsunęła się od niego, odwracając twarz przed odorem alkoholu z jego ust, lecz Phil popchnął ją i przyparł do ściany. Jego niezręczny pocałunek trafił w mur, ale następny wylądował na jej policzku. — No złotko. Odpręż się — Phil spróbował pocałować ją jeszcze raz, zaś ona starała się odwrócić głowę. Jej walka o wydostanie się z jego silnego uścisku tylko wydawała się obezwładniać ją jeszcze bardziej. — Puść mnie! Słyszysz?! — krzyknęła Dorothy. Wszyscy obecni w korytarzu odwrócili się w jej stronę, lecz nikt się z początku nie poruszył. Wreszcie wysoki mężczyzna w smokingu oderwał się od grupki, która stała przed wejściem. Jego wielkie dłonie oderwały Phila od niej i rzuciły na ziemię. Dorothy spojrzała w twarz swego wybawiciela i o mało nie zemdląła. Był to Barron Armour!

— Panna Eaton? Czy nic pani nie jest? Nic pani nie zrobił? — Jego oczy wyrażały szczere przejęcie jej losem.

— Panie Armour... — spojrzała w dół, widząc jak Phil niezgrabnie próbuje się podnieść z ustami wykrzywionymi gniewem.

— Odejdź stąd, Goggins, żebym nie zrobił czegoś, czego będę później żałował.

Coggins nie miał dość odwagi, by zaatakować większego od siebie mężczyznę i kołyszącym się krokiem podążył do wyjścia, mamrocząc pod nosem stek wyzwisk. Przed samymi drzwiami zatrzymał się.

— Tak... To ona mnie sprowokowała. Zobaczysz, co na to powie Shelley.

Wpadł na jakąś wchodzącą parę i już go nie było. Dorothy zatkało z oburzenia. Czy Barron mu uwierzył?

— Panie Armour, ja...

— Niech pani teraz nic nie mówi. Jest pani podenerwowana.

Proszę, tu jest taksówka. Porozmawiamy jutro, jeżeli pani zechce. Objąwszy ramieniem odprowadził ją przed gapiącymi się ludźmi do taksówki, stojącej przy chodniku. Dorothy poczuła na sobie wzrok Shelley Britt. Gdyby spojrzenia mogły zabijać...

Błyszczące światła miasta w nocy i jeżdżących samochodów odbijały się od żółtej taksówki. Do Dorothy dotarło wreszcie, że kierowca coś do niej mówi. Dotąd siedziała jak przerażone dziecko, wysłane za karę ze szkoły do domu.

— ...dlatego właśnie wolę pracować w nocy. Miasto wygląda na czystsze, bardziej przyjazne. Dają też lepsze napiwki, jak pani chłopak.

Gdy wsiadała do auta, Barron podał mu zwitek banknotów i poprosił, by zawiózł ją jak najprędzej do domu, a kierowca pomyślał, że jest jej chłopakiem. Niemożliwe. Poza tym, co on sobie pomyślał o mnie po tej scenie! Wzdrygnęła się, gdy stanęła jej przed oczyma twarz Shel-

ley. Mój chłopak. A jak uwierzył Philowi? Uśmiechnęła się krzywo do siebie na myśl o tym, że ktoś mógł połączyć ją z Barronem.

Dorothy obudziła się po niespokojnej nocy i spojrzała na budzik. Była spóźniona, co nie pozwoliło jej zbyt długo zastanawiać się nad tym, co zaszło ubiegłego wieczora. Gdy wreszcie znalazła się w biurze, zastała na swym biurku całe mnóstwo papierów.

Ucieszyła się i natychmiast zakopała w pracy. Nie chciała patrzeć w oczy innych ludzi. Czowała, że wszyscy i tak już coś wiedzą, pewna była także, że wie, co o niej myślą.

Shelley Britt wpadła do biura jak mroźny, biegunowy wicher. Ledwo zamknęły się za nią drzwi, wezwała do siebie Dorothy. Obawiając się najgorszego i powłócząc nogami, dziewczyna weszła do gabinetu panny Britt, która natychmiast zaczęła mówić. Wręczyła Dorothy kolejno bardzo dużo rzeczy do zrobienia, informując ją równocześnie, że cały weekend spędzi na podróży służbowej po stanie Nowy Jork, co miało związek z pracami komisji.

— Mam nadzieję, że nic się tu nie wydarzy podczas mojej nieobecności.

Dorothy odebrała jeszcze wiele innych kąśliwych uwag, które Shelley wplatała misternie w szereg podawanych jej instrukcji. Wreszcie odłożyła resztę papierów do czarnej, skórzanej teczki, która dołączyła do-sporych rozmiarów walizki, stojącej obok biurka.

— Będiesz przez cały czas mnie tu zastępować, więc proszę cię, zachowuj się poprawnie — dodała. — Żeby nie rozpraszać Marty przy biurku na zewnątrz, możesz skorzystać z mojego gabinetu, kiedy mnie nie będzie. Jak chcesz, możesz tu przenieść swoją pracę. Wrócę w poniedziałek albo we wtorek. Po powrocie zaraz się z tobą skontaktuję.

Shelley wyszła z biura nie oglądając się za siebie. Za kilka sekund Marty Green wkroczyła do gabinetu z radosnym uśmiechem na ustach. — Cześć, szefie! Cobyś powiedziała na malutki urlop dla mnie? — zachichotała, rozładowując napięcie. Dorothy rozparła się w wygodnym, wysokim fotelu po drugiej stronie biurka, zapraszając Marty, by usiadła naprzeciw. Potrzebowała jej dobrego humoru. Marty zapaliła papierosa, wyraźnie odprężona podczas nieobecności Shelley. — Pasujesz do tego miejsca, Dorothy. Szkoda, że nie jesteś tu szefem. Ale wyglądasz mi na zmęczoną. Wiele rzeczy się dzisiaj wydarzyło w biurze. Phil zadzwonił do biura, że się dziś nie pokaże. Chory, czy coś, poza tym ani słowa wyjaśnienia. Ale ty wyglądasz, jakbyś całą noc nie spała. Mam nadzieję, że wszystko u ciebie w porządku. Dorothy czuła, że ich przyjaźń wymaga, żeby opowiedziała jej o wydarzeniach ostatniego wieczoru, i w krótkich słowach streściła koleżance, co zaszło. Gdy przypomniła sobie, Phil przyciskał się do niej, zrobiło jej się niedobrze. Co do Shelley, miała nadzieję, że na razie da jej spokój. Na twarzy Marty odmalowało się zrozumienie. — To dlatego nasz Phil nie pokazał się dziś w pracy! Szkoda, że właśnie ciebie musiało to spotkać. Powinnam była cię przed nim ostrzec. Ja też w podobny sposób dowiedziałam się, że pije. Ale nie przejmuj się, wszystko się ułoży. Muszę wracać na swoje miejsce. W razie czego wiesz gdzie mnie znaleźć — mrugnęła porozumiewawczo okiem. Dorothy zabrała się rażno do pracy. Nie miała zbyt wiele czasu na plotki, bowiem do tego, co miała zrobić, Shelley dołączyła całą masę dodatkowych zadań. Poprosiła nawet Marty, by ta przyniosła jej z kawiarni kanapkę i kawę w plastikowym kubku. Wolą zjeść w biurze, niż zawalić pracę. Jak do tej pory, Barron nie odzywał się. Zdziwiło ją to, bo przypuszczała, że z natury swej pracy

musiał się często kontaktować z Shelley. Z drugiej strony cieszyła się, że nie musi mu się tłumaczyć. Chciała wcześniej o całej sprawie porozmawiać z Marion.

— Posłuchaj — powiedziała Marty, biorąc z jej biurka stertę papieru. — Te raporty mogę sama załatwić, bo nie dotyczą niczego specjalnego. Podrobię na nich twój podpis i wyślę.

Dorothy uśmiechnęła się z wdzięcznością. Gdyby nie pomoc Marty, nie miałyby ani chwili dla siebie.

Podniosła głowę, słysząc dzwonięcie bransoletek koleżanki, która pokazywała na telefon na jej biurku. Pewnie coś ważnego, pomyślała i podniosła słuchawkę.

— Biuro panny Britt. Mówi Dorothy Eaton. Czym mogę służyć?

— Mówi Barron Armour. Czy mogłaby pani wpaść do mnie na chwilę? Ton jego głosu nie zdradzał nastroju, lecz Dorothy zamarła z przerażenia. Kiwnąwszy głową Marty, wybrała drogę po schodach, by jak najdalej odwlec chwilę spotkania z nim. Na progu jego gabinetu postanowiła wziąć się w garść.

Ze spuszczonej oczyma stanęła przed jego biurkiem.

Wiedziała, że gdy spojrzy mu w oczy, cała jej pewność siebie pryśnie, zacznie się jąkać i nie będzie w stanie powiedzieć nic sensownego.

— Panie Armour, musi pan zrozumieć...

— Panno Eaton, proszę nic nie mówić. Rozumiem. Wczoraj wieczorem nie pierwszy raz pan Coggins przekroczył granice dobrego smaku. Wcześniej mówiono mi o tym, lecz nie bardzo zwracałem na to uwagę. Po prostu nie bardzo w to wierzyłem. Swoim postępowaniem udowodnił, że nie jest godny pracować w komisji burmistrza. Z dniem dzisiejszym pan Coggins został zwolniony, umożliwiłem mu jednak wykorzystanie zaległego urlopu.

Uśmiechnął się i podszedł do Dorothy, która nie wierzyła własnym uszom.

— Panno Eaton, nie ma pani powodu prosić mnie o wybaczenie, bo rozumiem, co między wami zaszło — ciągnął Barron. — Żałuję tylko, że w ogóle doszło do tego wypadku, bo mogłem temu zapobiec, gdybym go wcześniej zwolnił. Mam nadzieję, że mogę w jakiś sposób wynagrodzić pani przeżycia wczorajszego wieczoru.

Dorothy rozplakała się, zdając sobie doskonale sprawę, jak głupio wygląda, stojąc tak obok niego, rozdygotana, zalana łzami, nie potrafiąca się wysławić. Barron podał jej chusteczkę, co zmusiło ją do spojrzenia mu w oczy. Poczuli się jak mała dziewczynka, którą pociesza ojciec. Zastygła, delektując się nastrojem chwili. Barron ocierał jej łzy chusteczką, wreszcie ujął jej twarz w obie dłonie i ich usta zbliżyły się do siebie. Dorothy była jak zahipnotyzowana, a pocałunek podziwianego mężczyzny zelektryzował całe jej ciało. Przez moment nie wiedziała, gdzie jest, a potem długo czuła na ustach ciepło jego warg. Nie mogła otworzyć oczu, nie chcąc przepłoszyć ulotnego nastroju chwili. Wreszcie zdobyła się na odwagę i spojrzała na niego. Wyglądał na spokojnego, jakby nic się nie stało.

— Przepraszam, panno Eaton... Nie wiem, co mi się stało. Nie wiem, jak się to wszystko mogło zdarzyć, ale wyglądała pani na tak smutną... chciałem tylko panią pocieszyć... Zapewniam panią, że więcej się to nie powtórzy.

Dorothy była zdruzgotana. Więc ten pocałunek nic dla niego nie znaczył, a dla niej był chwilą uniesienia, jakiego nigdy przedtem w życiu nie doznała. Nic do niej nie czuł.

Szkoda, że się dla niego nie liczę, pomyślała smutno. Nawet nie wie, jak bardzo mi na nim zależy. Marion ma rację, ja się chyba w nim zakochałam.

4

Gdy Dorothy wróciła do siebie, Barron siedział już w fotelu i jego zachowanie natychmiast przywróciło między nimi dystans pracownika i podwładnego. Usiadła przy jego biurku, czekając na instrukcje. Barron rozparł się w fotelu i powiedział:

— Panno Eaton, proszę uznać sprawę wczorajszego wieczoru za zamkniętą. Wracając do naszych spraw: jak pani zapewne wie, zadaniem naszej komisji jest ożywienie inwestycji w naszym mieście. Z tego powodu musimy wiele podróżować i dlatego zajęła dziś pani miejsce Shelley. Ja też będę musiał wyjechać na kilka dni, a kto wie, czy jakaś mała podróż nie przytrafi się pani. Wstał i wziął z półki pękata teczkę.

— Panno Eaton, tu są szkice naszych nowych planów rozwojowych. Zawiera wszystkie niezbędne informacje i podczas mojej nieobecności chciałbym, żeby się pani tym zajęła — spojrzał na zegarek. — Ojej, ależ ten czas leci! Przepraszam, ale jestem umówiony. Mam nadzieję, że zdoła to pani przejrzeć do mojego powrotu. Do widzenia!

Weekend minął bardzo szybko. Dorothy miała wiele rzeczy do zrobienia: sprzątanie mieszkania, pranie i opracowanie dla Barrona. Głównie za sprawą Marion, która

nieomal siłą musiała wyciągać ją z domu, spędziła pewien czas na świeżym powietrzu, tak bardzo zapomniała o wszystkim siedząc nad zadanym opracowaniem.

Wybrały się obejrzeć miasto. Bez tłoczących się wszędzie tłumów, Nowy Jork wydawał jej się znacznie bardziej przyjazny. Od kompleksu biur Organizacji Narodów Zjednoczonych przeszły pod Statuę Wolności, skąd Dorothy miała okazję podziwiać panoramę miasta z jednej strony i bezkresny ocean z drugiej.

W poniedziałek dzień wstał bardzo rześki i Dorothy z radością pobiegła do pracy. Starannie przepisane opracowanie położyła na biurku Barrona, czując dumę z tego, co zrobiła. Poczekaj, aż sam znajdzie i zadzwoni. Z pewnością będzie zadowolony. W mgnieniu oka poradziła sobie z tym, co zostało do zrobienia od ubiegłego piątku i dzięki temu mogła pozwolić sobie na lunch z Marty.

— Muszę cię ostrzec, moja droga — zaczęła, gdy obie siedziały już przy stoliku. — Niektóre osoby w biurze źle interpretują to, co robisz. Są zazdrośni. Wydaje im się, że idziesz do celu po trupach. Najgorsze, że Darleen obwinia ciebie o to, że spowodowałaś wylanie z pracy Phila. O, właśnie tu idzie. Twarz Darleen wykrzywiła złość. Trzęsącym się, lecz bardzo donośnym głosem powiedziała:

— Wreszcie was znalazłam. Dwie wiedźmy! Kogo teraz planujecie wyrzucić?! A ty jesteś najgorsza — syknęła w stronę Dorothy, odwróciła się na pięcie i wyszła.

Później tego samego dnia Dorothy zastanawiała się nad słowami przyjaciółki i musiała przyznać, że w oczach innych rzeczywiście mogło to tak wyglądać. Brała na siebie wiele obowiązków, z czym musiała się wiązać większa odpowiedzialność, nic więc dziwnego, że inni zazdrościli jej tak szybkiego awansu. Lecz

tłumaczyła sobie, że przecież ciężiej od nich pracuje. Dlaczego tego nie rozumieją?

Biedna Darleen, ale sama nie dała mi szansy na wyjaśnienia.

Pewnie Phil rzeczywiście przypadł jej do gustu. Teraz jednak nie mogę nic na to poradzić. I jeszcze to zauroczenie Barronem...

Postanowiła podzielić się swymi problemami z Marion, która od razu dostrzegła, co się dzieje z jej młodą podopieczną i delikatnie przypomniała Dorothy, że Barron nie jest wolny i że jest związany pewnymi rodzinnymi zobowiązaniami. Mimo to starała się podnieść Dorothy na duchu.

— Niedługo śnieg spłynie z gór w Belnotch, i cała okolica się zazieleni. — Po czym, zmieniając temat, powiedziała:

— Czy wiesz, jak bardzo kochałam twojego ojca? Dorothy spojrzała na nią zaskoczona.

— Nie, nie to mam na myśli — poprawiła się szybko. — On jest tak miłym i wspaniałym człowiekiem. Zawsze leżało mu na sercu dobro innych, bez względu na ich położenie materialne. Mnie też pomógł, kiedy ludzie w Belnotch opowiadali za moimi plecami, jaka to ze mnie i dziwaczka. On ujął się za mną i wszyscy jakoś się do mnie przekonali. Nigdy mu tego nie zapomnę.

Dorothy niezupełnie ją zrozumiała, gdyż myślami była zupełnie gdzie indziej.

Następnego dnia Shelley i Barron wrócili do pracy i w całym biurze zapanowała atmosfera podniecenia.

Dorothy ucieszyła się, bo jako osobę pełniącą ważną funkcję w komisji, zaproszono ją na wspaniałe przyjęcie, które miało się odbyć w sali recepcyjnej budynku Rady 5 Miasta. Zaproszono wiele znanych osób ze świata biznesu i kultury, co dla Dorothy miało być jedyną w swoim rodzaju okazją ujrzenia tylu sławnych postaci w jednym miejscu.

5

Kolejnych kilka dni Dorothy spędziła albo zagrzebana po uszy w pracy albo w stanie półprzytomnego podniecenia, zastanawiając się jaką rolę przyjdzie jej odegrać na przyjęciu. Nie wiedziała, kogo dokładnie zaproszono, więc ilekroć ktoś o znanym nazwisku pojawiał się w telewizji lub w gazecie, zastanawiała się, czy i oni mieli przyjść.

Na parterze przygotowania do przyjęcia były w toku. Wznoszono dekoracje, sprzątano, słowem robiono wszystko, by impreza wypadła okazale. Na górze praca toczyła się normalnym trybem. Marty pogodziła się z faktem, że nie ma już Phila, przyznawszy się kiedyś w sekrecie, że lubiła go nieco bardziej niż powinna. Darleen nie przeprosiła Dorothy za swój wybuch, ale przynajmniej zachowywała się poprawnie i nie robiła jej wyrzutów.

Dorothy była trochę zawiedziona, że do tej pory Barron nie skontaktował się z nią i nie wspomniał ani słowem o pracy, jaką dla niego wykonała. Panna Britt, co prawda przelotnie, ale jednak pojawiała się w biurze. Dorothy miała tylko nadzieję, że nie robi tego umyślnie, i nie stara się jej kontrolować.

Miała zamiar poszaleć i na tę okazję kupić sobie nową sukienkę. W czasie lunchu chciała zasięgnąć rady Marty,

ale gdy obie wychodziły, w biurze pojawiła się Shelley i poprosiła Dorothy do siebie.

Marty pożegnała ją smutnym uśmiechem.

— Może ci przynieść kawę?

— Bardzo proszę. Tylko czarną, bez cukru. Dziękuję — powiedziała i weszła do gabinetu Shelley.

Shelley najwyraźniej się z czegoś cieszyła. Jak zwykle ubrana była w najmodniejszy kostium w kolorze ciemnozielonym, który musiał kosztować ją całą masę pieniędzy.

— Dorothy, obawiam się, że mam dla ciebie niezbyt miłą wiadomość. — Jak to? — zapytała Dorothy.

— Wiem, że miałaś być obecna na przyjęciu, wydawanym przez burmistrza i że dano ci do zrozumienia, że tam będziesz. Jednak biuro musi funkcjonować sprawnie i tego dnia, dlatego muszę pozostawić tu część obsady, żeby zajęła się tym, co może się przydarzyć. Będą to tylko trzy osoby, ale potrzebny jest też ktoś, kto będzie kierował ich pracą. Zostałaś wybrana nie dlatego, że jesteś tu najmłodsza stażem, lecz dlatego, że można na tobie polegać. Dorothy czuła, że papieros, którym zaciąga się Shelley, miał ukryć jej uśmiech satysfakcji. Nie miała jednak zamiaru sprawić jej radości i dać po sobie poznać, jak bardzo jest rozczarowana. — Oczywiście, panno Britt — zmusiła się do uśmiechu. — Jestem zaszczycona, że wybrała pani właśnie mnie. — Cieszę się, że tak do tego podchodzisz.

W piątek, w dzień przyjęcia, Dorothy postanowiła trochę o sobie zadbać i ubrała nową, jedwabną sukienkę, którą kupiła jej Marion. Niestety, w sytuacji, w jakiej się znalazła, trzeba było robić dobrą minę. Wchodząc rano głównym wejściem do pracy, podziwiała wspaniale udekorowany hol, długie, przykryte śnieżnobiałymi obrusami stoły, uginające się pod ciężarem zakąsek, a przede wszyst-

kim srebrną zastawę, skrzącą się w słońcu, którego promienie wpadały przez wysokie okna do budynku.

Jak było do przewidzenia, od samego ranka telefony milczały jak zaklęte. Jedna osoba zupełnie by wystarczyła. Gdy okazało się, jak niewiele będą mieli do roboty, Dorothy pozwoliła pozostałej dwójce przedłużyć sobie przerwę na lunch.

Wtem odezwał się telefon. Dzięki Bogu, pomyślała Dorothy, podnosząc słuchawkę.

— Cieszę się, że tam jesteś, Dorothy. Właśnie idzie do ciebie pan Armour z kilkoma gośćmi — usłyszała głos Shelley, która dzwoniła do niej z dołu. W tle słychać było muzykę, gwar rozmów i pobrzękiwanie kieliszków. — Proszę cię, oprowadź ich po biurze.

— Oczywiście, panno Britt.

— Muszę już kończyć, bo żona burmistrza chce ze mną rozmawiać.

W chwilę później nadszedł Barron Armour z grupą mężczyzn, którzy śmiali się i żartowali. Barron uciszył ich gestem dłoni.

— A tutaj, proszę państwa, znajduje się serce naszej komisji — wskazał gestem na siedzącą za biurkiem Dorothy. — To jest panna Eaton.

Barron pokazał im drugą stronę.

— Moje biuro jest tam. — Goście wyszli z pokoju, zaś Barron odwrócił się i powiedział do Dorothy:

— Przy okazji, panno Eaton, pani opracowanie jest nadzwyczajne. Ze względu na nadmiar pracy nie miałem czasu podziękować. Może spotkamy się na lunch w poniedziałek?

— Ale panie Armour... — w myśli pojawiła się twarz Shelley.

— Zawsze powtarza pani „ale” — przerwał jej. — Panna Britt wybiera się w poniedziałek do Puerto Rico,

więc nie powinna mieć nic przeciwko temu, że przedłuży pani sobie przerwę.

Biorąc jej milczenie za zgodę, wyszedł z biura.

W poniedziałek rano specjalnie obudziła się wcześniej, by ubrać się stosownie do okazji i odkryła, że nie ma co na siebie włożyć. Wreszcie zdecydowała się na prostą, czarną sukienkę. Jak się potem okazało, dokonała trafnego wyboru.

W pracy czas dłużył jej się niemiłosiernie. Co chwilę ktoś inny pytał, dlaczego tak się wystroiła, co potęgowało jej zakłopotanie. Wiedziała, że wszyscy, w większym lub mniejszym stopniu jej zazdroszcza, i choć Marty zapewniała ją, że szefowie mieli w zwyczaju zapraszać swe sekretarki na lunch, dziwne uczucie nie ustępowało.

Dlaczego zawsze muszę się przed kimś tłumaczyć? myślała, lecz z wrodzonym sobie wdziękiem odpowiadała na każde pytanie.

Wreszcie zadzwonił telefon i usłyszała w słuchawce długo wyczekiwany głos Barrona:

— Spotkajmy się na dole za pół godziny. Podczas krótkiej podróży taksówką, wyglądała przez okno, a Barron przeglądał jakieś papiery. Wyobraziła sobie, że czyta podręcznik savoir-vivre'u: „Rozdział trzeci — Jak zaprosić sekretarkę na lunch.”

W bogatym wystroju wnętrza restauracji poczuła się pewniej. Wokół nich kręciły się całe roje kelnerów, którzy usługiwali w lot odgadując ich myśli. Barron spróbował przyniesionego wina, podziękował i poprosił, by rozlano do kieliszków.

— Mała lampka wina pasuje w sam raz na tę okazję — powiedział.

Dorothy trąciła się z nim i spróbowała. Musujące wino delikatnie szczypało ją w język.

— Okazję? — zapytała.

— Tak. Prace komisji idą na wyraz pomyślnie, zwłaszcza po przyjęciu wydanym przez burmistrza. I pani ma w tym swój niemały udział. Odłożył kieliszek i uśmiechnął się do niej.

— Czytając pani opracowanie zdałem sobie sprawę, jak dalece stała się pani niezbędna dla komisji... i dla mnie.'

— Dziękuję panu bardzo — odparła Dorothy. Podziwiała swobodę, z jaką zachowywał się w tak wytwornym miejscu, lecz pomyślała sobie, że z pewnością jego praca wymagała spędzania wielu godzin właśnie w takich miejscach.

W miarę upływu czasu atmosfera stawała się bardziej przyjacielska i otwarta. Czuli się znakomicie w swoim towarzystwie. Ona cieszyła się każdym egzotycznym doznaniem dla swego podniebienia, a on uśmiechał się radośnie, bo sam wybierał kolejne dania. Po deserze z bitą śmietaną usiedli wygodnie,, rozkoszując się atmosferą miejsca.

— Teraz panno Eaton, czas najwyższy, żeby mi pani coś opowiedziała o sobie. Niespodziewanie dla siebie, Dorothy mówiła dłużej niż się spodziewała, szczegółowo opisując swą rodzinę w stanie Vermont. Na koniec dodała, że bardzo podoba jej się Nowy Jork, i że praca zawodowa daje jej wiele satysfakcji. Barron wydawał się być zadowolony.

— Bardzo mi się to podoba, ale czy naprawdę istnieje takie miasto jak Belnotch? Czy przyjeżdżając do miasta miała pani buty? — powiedział śmiejąc się.

Dorothy poczuła się zbita z tropu. Najpierw prawi mi komplementy, a potem sobie żartuje, pomyślała. O co mu chodzi? Może nie traktuje mnie poważnie.

— Ależ skąd, pani Armour. Przyjechałam do Nowego Jorku, bo chcę studiować prawo. Jak panu wspominałam, mój ojciec był prawnikiem i stąd moje zainteresowania.

W kilku słowach opowiedziała Barronowi o firmie,

którą przez całe lata prowadzili Eatonowie. Nie wspomniała o rozpaczliwej sytuacji finansowej, w jakiej się znaleźli, ani o tym, że jej ojciec jest teraz w sanatorium.

— Jestem pod wrażeniem pani planów. W jednym będę chyba mógł pani pomóc. Mam całą bibliotekę książek, które mogą być pani pomocne w przygotowaniu do egzaminów. Sam od czasu do czasu z nich korzystam w pracy. Napiszę też dla pani list polecający. Dorothy poczerwieniała.

— Co do tego pierwszego, bardzo chętnie, lecz na to drugie chyba nie zasłużyłam.

— Co też pani opowiada! Potrafię docenić silną wolę u kobiety. Co do mnie, choć moja rodzina zdobyła sobie kiedyś pewną pozycję materialną, ja sam musiałem sobie radzić. Doskonale więc rozumiem położenie, w jakim się pani znalazła.

— Nie wiedziałam — szepnęła.

— Moja rodzina zawsze znakomicie potrafiła podtrzymywać pozory. A teraz proszę mi opowiedzieć coś więcej o swojej pracy. Co się pani najbardziej w niej podoba?

— Wszystko, kiedy idzie mi dobrze, ale jak wszędzie, od czasu do czasu są kłopoty.

— Kłopoty? Ma pani na myśli Shelley? Jak się pani z nią układa? Dorothy wbiła wzrok w pustą filiżankę po kawie. Nie potrafiła kłamać mężczyźnie, któremu tak wiele zawdzięcza.

— Są takie chwile... Oczywiście wszystko w granicach naszych służbowych stosunków. Żeby być zupełnie szczerą, czasami panna Britt jest taka, jak biała róża, którą ktoś kiedyś zostawił mi na biurku. Kiedy się na nią patrzy, jest piękna, ale jeżeli podejść do niej z niewłaściwej strony... — przerwała, spojrzawszy na niego uważnie. — Trzeba umieć się z nią obchodzić. Poza tym wie pan, że to nie w porządku wypytywać kogoś o zwierzchnika.

— Nie, nie, panno Eaton. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie śmieję się z pani opisu Shelley, tylko z tej tajemniczej róży. To ja ją pani posłałem, na znak zawieszenia broni. Miałem nadzieję, że pomyśli pani sobie potem, że tak naprawdę nie jestem taki straszny.

— Ależ skąd. Bardzo jestem panu wdzięczna, że mnie pan nie zdradził następnego dnia. To była moja wina, byłam taka zagubiona — zaczerwieniła się Dorothy na wspomnienie chwili.

— Proszę mi nie dziękować. Jestem pod wrażeniem pani otwartości, a pod względem organizacji pracy w biurze, nie ma pani sobie równych. Poza tym dodaje mu pani uroku — przerwał spoglądając jej w oczy. — Chyba nie będzie pani miała nic przeciwko temu, żebyśmy przeszli na ty. Naprawdę, Dorothy, bardzo się cieszę, że zaczęłaś u nas pracować.

Spojrzał na zegarek i poprosił o rachunek.

— Przepraszam cię, ale spieszę się na samolot do Chicago.

Zostałem umówiony na całą serię spotkań związanych z pracami komisji. Atmosfera restauracji, wino, rozmowa z Barronem, a nade wszystko przejście na ty sprawiły, że Dorothy nie mogła się pozbierać przez całą drogę do biura. Jej myśli zaprzątnięte były słowami, które wypowiedział. Z jego strony mógł to być niewinny flirt, jednak z tego co opowiadała o nim Marion, flirty nie były w jego stylu. Poza tym wspomniał coś o komplikacjach rodzinnych. Czy przypadkiem Barron nie zostawiał tym dla niej otwartej furtki? Na koniec zdecydowała, że sobie nadto korzystnie interpretuje fakty. Przez chwilę żałowała, że nie jest w Vermont, gdzie ludzie otwarcie wypowiadali swoje myśli, i gdzie życie., było znacznie prostsze. Uśmiechnęła się na myśl, że nie miałyby takich kłopotów, gdyby jej szefem był jakiś stary nudziarz.

Nim taksówka zatrzymała się przed budynkiem Rady, postanowiła nie przywiązywać żadnej wagi do tego, co dziś zaszło między nimi. No, może z wyjątkiem rozmowy o pracy. Wchodząc do budynku zauważyła swe odbicie w lustrze po drugiej stronie korytarza. Jej kroki wydawały się lekkie, ulotne, prawie nierzeczywiste. Musiała przyznać sama przed sobą, że od chwili, ' gdy po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu, czuła się doceniona. Takie sobie zwykłe imię w jego ustach nabierało szlachetności.

6

Gdy znalazła się w biurze, osoba Barrona szybko zeszła na drugi plan. Z braku Shelley znalazła się w samym centrum zainteresowania wszystkich i musiała zacząć samodzielnie podejmować decyzje.

Marty nie mogła się doczekać na wolną chwilę, by mogły poplotkować, lecz Dorothy zupełnie nie miała do tego głowy. Każdego dnia, zmęczona nawałem zajęć szła prosto do domu, gdzie jak nieprzytomna kładła się do łóżka i zasypiała twardym snem.

Uspokoilo się trochę dopiero pod koniec tygodnia. Wtedy obie z Marty poszły na lunch. Z wypiekami na twarzy Dorothy opowiedziała koleżance o spotkaniu w restauracji i o tym, że przeszli na ty. — Co o tym wszystkim myślisz? Marty wzruszyła ramionami, nie przywiązując do tego zbyt wielkiej wagi. Właśnie z tego powodu Dorothy ceniła swą przyjaźń z Marty, bowiem ta instynktownie potrafiła sprowadzić różne zjawiska na ziemię i nadać im właściwą perspektywę. Skoro tak, pomyślała Dorothy, nie będę się tym więcej przejmować.

Leżała jej jeszcze na sercu jedynie zazdrość pozostałych osób w biurze, ale nie chciała poruszać tego tematu

z Marty. Tego wieczora poszła porozmawiać z Marion, która pocieszała ją, jak mogła.

— Nie martw się. I tak nigdy nie zadowolisz wszystkich. Ludzie tego pokroju zawsze znajdą sobie coś lub kogoś, by móc im zazdrościć.

Dorothy po takiej rozmowie zawsze czuła się podniesiona na duchu. Pastelowe kolory ścian jej mieszkania wydawały się mieć na nią dobroczynny wpływ, a chorobliwy wprost optymizm kobiety nie mógł jej nie zarazić. Bez względu na to czym się zamartwiała, Marion zawsze znajdowała sposób, by ją rozweselić pójściem do kina, na spacer, zwiedzaniem nie znanej jej dotąd części miasta czy wystawą sztuki. Szkoda, że Marion nie miała przynajmniej z tuzina dzieci, pomyślała Dorothy. Z pewnością pomieściłaby je wszystkie w swoim sercu.

Piątek zaczął się niewinnie. Dorothy, w krótkich przerwach między nawałem zajęć, spoglądała na zegarek, ciesząc się z góry na myśl o wolnych dniach, o kąpieli w gorącej wodzie i możliwości wyspania się do syta. Pierwszym sygnałem, że zaczyna się dziać coś złego była awaria kserokopiarki. Potem, gdy Marty przyniosła jej kawę, przypadkiem wylała ją na dwa sprawozdania leżące na biurku. Dorothy wiedziała, kto będzie musiał je przepisać, bo musiały być gotowe na poniedziałek. Nie miała serca powiedzieć przyjaciółce, jak ważne były to dokumenty. Ale największą katastrofę spowodowało zachowanie Darleen, która z zupełnie niewiadomego powodu wybuchnęła płaczem, w chwili gdy Dorothy rozmawiała przez telefon z gabinetem burmistrza. Zdekoncentrowana zachowaniem Darleen, podała mylne dane, które z kolei burmistrz zacytował w swoim wywiadzie telewizyjnym, co wykorzystali natychmiast jego przeciwnicy polityczni, zarzucając mu niekompetencję. Teraz burmistrz żądał jej głowy.

Sama Dorothy nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje, aż pogłoski z jego biura nie dotarły na dół. Burmistrz wydał polecenie zwolnienia Dorothy!

Było już ciemno, gdy autobus wtoczył się do Belnotch. Gdy wyszła z pojazdu, świeże, czyste powietrze, pełne oddechu wiosny, przywróciło jej świadomość.

Nie wiedziała, dlaczego tak postąpiła, czuła jednak, że musi przynajmniej tej nocy przespać się we własnym łóżku. Rano z pewnością spojrzy inaczej na wydarzenia feralnego piątku. Idąc przez szeroki trawnik do domu miała uczucie, że jest tu obca. Ani przez myśl nie przeszło jej wziąć klucze, a dom przecież zabezpieczono na czas nieobecności ojca! Musiała spróbować paru okien, nim znalazła takie, które dało się otworzyć. Przerzuciła jedną nogę przez parapet i znalazła się w spiżarni przy kuchni. Zapach w środku powiedział jej, że zostało trochę drewna z jabłoni do spalenia. Po ciemku nie było jej się łatwo poruszać, a nie chciała zapalać świateł, żeby nie wzbudzić poruszenia wśród sąsiadów, ani nie odpowiadać na pytania, jakimi z pewnością by ją zasypali.

Weszła do swojego pokoju i nie rozbierając się położyła do łóżka. Nadchodzący sen wydawał się być wybawieniem.

Rano przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Szybko zrzuciła ubranie i weszła pod prysznic. Omal nie krzyknęła z przerażenia, gdy dotknął ją strumień lodowato zimnej wody. Ubrana zeszła na dół do kuchni, gdzie przyrządziła sobie kubek kawy i talerz owsianki na mleku w proszku, potem ubrała ciepłą kurtkę i wyszła z domu.

Dzień był ciepły, nawet jak na wiosenną porę. Słońce stało wysoko, omiatając promieniem szczyty gór. Po kilkudziesięciu minutach forsownego marszu znalazła się na szczycie wzgórza w sanatorium, gdzie przebywał jej ojciec.

W chwilę później pielęgniarki przywiozły na wózku inwalidzkim sędziego Eatona, z rękami bezwładnie spoczywającymi na kolanach. Dorothy usiadła przy nim.

Stan ojca był nadal bez zmian. W całym jego ciele żyły tylko oczy, niezależne od bezwładnej reszty ciała. Zaczęła mówić, tak, jakby ją słyszał. W odpowiedzi patrzył na nią swym spokojnym, nieco smutnym spojrzeniem, lecz mogłaby przysiąc, że w jego oczach mogła odczytać zrozumienie i miłość. Opowiedziała mu o wszystkim, co do tej pory jej się przytrafiło, o plątaninie uczuć, niezrozumieniu i niepowodzeniach w pracy. Nie wstydziła się łez, którymi skrapiała swą opowieść. W strumieniu własnych słów znalazła wreszcie wyzwolenie, oczyszczenie, choć dobrze wiedziała, że żaden z jej życiowych problemów nie został rozwiązany. Objęła ojca i całując czule przytuliła do siebie jego osłabłe ciało.

— Do widzenia, tato. Do jutra. Pamiętaj, że myślami zawsze jestem z tobą.

Była pewna, że w jego oczach widzi mgłę i jego usta poruszyły się, jakby próbował coś jej odpowiedzieć. Mimo tego, co powtarzali jej lekarze, była przekonana, że wszystko rozumie. Wracając powoli w stronę wioski wpadła nagle na pomysł, by nie okrążyć góry, tylko powędrować jej szczytem przez las, dzięki czemu znajdzie się od razu po drugiej stronie wioski i zaoszczędzi trochę czasu. U stóp góry przystanąła na chwilę, by zanurzyć strudzone stopy w chłodnym, krystalicznie czystym strumyku. Dopiero gdy znalazła się na szczycie i podniosła oczy, by nacieszyć się pięknym widokiem, zorientowała się, że pogoda zaczyna się zmieniać. Wiatr przybierał na sile, a ona stwierdziła, że nie ma pojęcia, która z wielu ścieżek powiedzie ją do domu. Nagle prawie spod nóg wyrwał się jej spłoszony szarak i po chwili zniknął w zaroślach. Dziękuję,

pomyślała z wdzięcznością i zdecydowała się na ścieżkę najbliższej miejsca, w którym schronił się zając.

Pierwsze krople deszczu padały łagodnie, potem zerwał się wichur i prawdziwa ulewa. Grzmot gromu, odbity echem od gór, zdawał się wypełniać cały świat. W lesie zrobiło się całkiem ciemno i Dorothy musiała przyznać sama przed sobą, że się zgubiła. Powinna była być bardziej ostrożna, wszyscy w Belnotch wiedzieli, że w góry nigdy nie należało wybierać się samotnie. Nie miała pojęcia, gdzie jest. Okolica była rzeczywiście niebezpieczna. Wielu ludzi zginęło już w tych górach niekiedy o kilkaset metrów od własnych domów Nagle rozległ się potworny trzask i drzewo, pod którym się schroniła, zaczęło się złowrogo przechylać. Przestraszona odskoczyła na bok, lecz potknęła się o wystający korzeń i upadła, a gałęzie drzewa wplątały ją w swe objęcia. Pośród gromów i w strugach deszczu zaczęła krzyczeć sama nie wiedząc do kogo, na przekór resztkom nadziei: — Na pomoc! Pomocy! Ratunku!

— Dorothy! Gdzie jesteś?! — usłyszała donośny, męski głos. Wydawało się jej, że go poznaje, lecz nawet nie ośmieliła wymówić jego imienia. Jednak to był on! Wreszcie obok niej pojawił się Barron, zmoczony do suchej nitki. Kilkom ruchami silnych ramion odsunął na bok gałęzie i uwolnił dziewczynę, na której twarzy łzy szczęścia mieszały się z deszczem. Pochylił się i delikatnie wziął ją na ręce. Dorothy, jak zahipnotyzowana, przycisnęła usta do jego warg w gorącym pocałunku wdzięczności. Całe jej ciało zadrżało z wewnętrznej radości i przypomniała sobie ten pierwszy raz w jego gabinecie, gdy chciał ją pocieszyć. Sama nie wiedziała, jak znaleźli się w domu.

W kuchni zrobiło się bardzo ciepło, bowiem Barron dołożył na palenisko, ile się tylko zmieściło. Przemoczone ubrania zawiesili na sznurku nad kuchnią. Na szczęście

Barron miał ze sobą ubranie na zmianę. Z kubków na kawę unosiła się para i smakowity zapach napoju. Siedzieli, patrząc na siebie w milczeniu. Dorothy odezwała się pierwsza.

— Jak mnie znalazłeś? I skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? Marion opowiadała mi kiedyś, że los płata nam czasem różne figle, ale to, że mnie uratowałeś, to trochę za duży zbieg okoliczności.

— Możesz to przypisać swej szczęśliwej gwiazdzie czy czemukolwiek chcesz — uśmiechnął się ciepło. — Najpierw przyjechałem tutaj, pod dom, a kiedy cię nie zastałem, zapytałem sąsiada obok, który też co prawda nic nie wiedział, ale opowiedział mi o twoim ojcu. Burza złapała mnie w drodze do sanatorium. Deszcz padał tak gęsto, że musiałem zjechać na pobocze i przeczekać. Nagle usłyszałem przeraźliwy trzask, więc wyskoczyłem z auta, żeby się przekonać co to i... tak cię znalazłem. Po prostu zdarzyło mi się być na właściwym miejscu we właściwym czasie.

— Gdyby nie ty, nie wiem, co by się ze mną stało — wyszeptała Dorothy drżącym głosem.

— Nie przesadzaj — zaproponował. — Za chwilę sama odnalazłabyś drogę.

— Pamiętaj, że przygniotło mnie drzewo. Uratowałeś mnie. Barron zaczerwienił się lekko.

— Każdy zrobiłby to samo na moim miejscu.

— Dziękuję ci za to, co zrobiłeś, ale nie powiedziałaś mi najważniejszego — co robisz tu, w Belnotch? Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś zechcesz mnie zobaczyć po tym, co wczoraj zrobiłam — powiedziała wolno, wbijając wzrok w podłogę.

— Kiedy na lotnisku usłyszałem, co się wydarzyło, natychmiast zjawilem się w Radzie, gdzie udało mi się

odtworzyć bieg wydarzeń. Zaraz poszedłem z tym do burmistrza, któremu natychmiast poprawił się humor. Poprosił stację telewizyjną, która nadała pierwszy wywiad o dodatkowy czas na antenie i wszystko wyjaśnił. Na dodatek wypadł w nim jako dobry, rozumiejący i wybaczący szef, co umożliwiło mu, jak to się mówi, wypunktować swoich przeciwników.

— To znaczy, że nie wyrzucił mnie z pracy? — niedowierzała Dorothy.

— Skąd! Zdziwiłbym się, gdyby ci nie dał podwyżki. Po tym, co o tobie naopowiadał w telewizji, ośmieszyłby się, gdyby cię nie przyjął z powrotem. Dlatego tutaj jestem. Potrzebujemy cię. Dorothy ścisnęło się gardło. Przykre wspomnienia ostatnich dni zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

— Sama nie wiem, co powiedzieć.

— Po prostu zgódź się wrócić. Nie chciałbym stawić się w Nowym Jorku z pustymi rękami.

— Oczywiście, że wrócę! — krzyknęła w uniesieniu.

— Znakomicie. Teraz musisz mi tylko pokazać drogę do motelu. Wyruszymy zaraz rano.

— Rano? Chciałam ci chociaż trochę pokazać okolicę — spojrzała zawiedziona na niego.

— Przepraszam cię, ale w poniedziałek wylatuję służbowo do Niemiec i muszę jeszcze paru rzeczy dopilnować — wyjaśnił.

— Szkoda — powiedziała Dorothy. Uciekając z Nowego Jorku nie zrobiła żadnych planów, chciała tylko zobaczyć się z ojcem.

Barron musiał odczytać, o czym myślała, bo pospiesznie wtrącił:

— Nie martw się, zdążymy jeszcze odwiedzić ojca.

— Dobrze, będę gotowa. Ale powiedz mi, dlaczego

koniecznie chcesz spać w motelu? Tutaj jest wystarczająco miejsca dla nas dwojga — wypaliła, zaskoczona własną śmiałością. Gdy nie odpowiadał, dodała jeszcze:

— Jest jeszcze coś. Chodzi o ten pocałunek dzisiaj... — jej słowa zawisły w powietrzu. — Czy to był... przypadek?

— Wybacz mi, Dorothy — powiedział Barron. — Tam w biurze, po raz pierwszy, to był przypadek... Teraz... pewnie sobie myślisz, że nie potrafię dotrzymać słowa, ale uwierz mi, więcej się to nie zdarzy. Ja... Nie mam zwyczaju narzucać się bezbronnym kobietom, poza tym na pewno wiesz, że mam zamiar zareczyć się ze Shelley. Nie wiem, co mi się stało. Proszę cię, wybacz mi i zapomnij, że się to w ogóle zdarzyło.

— Mam zapomnieć? — Tak.

Dorothy pozbierała się i opanowała, próbując udawać, że nic ją nie obeszły słowa Barrona.

— Dobrze. Sam widzisz, burza i to wszystko. Ludzie zwykle tracą głowę w obliczu niebezpieczeństwa. Nie chciałam tylko, żebyś sobie pomyślał...

— W porządku — przerwał. — A teraz powiedz mi, gdzie jest ten motel. Wyruszyli wcześniej rano, jak zdecydował Barron. Po obfitym śniadaniu, wszystko wydawało się mieć tylko jasne strony. W słonecznym świetle dnia, srebrzystoszary mercedes mknął na południe, w stronę Nowego Jorku. W środku panowała cisza, rozpraszana tylko cichym szumem silnika. Dorothy zerknęła przez ramię Barrona na prędkościomierz. Jechali ponad sto mil na godzinę, lecz jeden rzut oka na spokojną, pewną sylwetkę mężczyzny uspokoił ją. Barron prowadził jak rasowy kierowca wyścigowy.

— Pilot do nawigatora. Cobyś powiedziała na łyk doskonałej kawy z Vermontu? Odbiór — nastrój Barrona najwyraźniej odpowiadał pogodzie dnia.

— Nawigator do pilota. Uwaga, nadchodzi z lewej. Trzymaj się. Po chwili wewnątrz samochodu wypełniło się aromatem kawy. Dorothy oparła kubek we wgłębieniu, oddzielającym od siebie przednie siedzenia.

— Dziękuję — powiedział Barron, uśmiechając się do niej. — Może chciałabyś się zdrzemnąć? Nie spałaś chyba dobrze tej nocy.

— Masz rację — zgodziła się Dorothy. — Jak dla mnie, wczoraj wydarzyło się zbyt wiele.

Zamknawszy oczy otuliła się lekkim płaszczem i wcisnęła głębiej w pokryte skórą siedzenie. Za kilka minut jej równy oddech oznajmił Barronowi, że śpi.

We śnie Dorothy puściła wodze fantazji. Znajdowali się z Barronem w Szwajcarii, w ogrodzie wspaniałej willi, skąd widok jakimś cudem rozciągał się na Belnotch. Stół zastawiony był jak w restauracji w Nowym Jorku, gdzie po raz pierwszy jedli razem lunch. Z oddali dochodził szum wodospadu. We śnie nie mówili nic, wystarczyły pełne wyrazu spojrzenia kochanków, którzy rozumieją się bez słów. Czas płynął powoli i spokojnie... bez Shelley Britt. Nagle obudziła się. Wyrwana ze snu przez chwilę nie zdawała sobie sprawy, gdzie jest. Barron patrzył na nią paląc papierosa i wydmuchując dym przez okno.

— Nie bój się, przyjechaliśmy tu dopiero przed chwilą. Na moment zatrzymałem się w Enfield, ale ty spałaś tak głęboko, że postanowiłem kontynuować jazdę.

— Dziękuję ci — odparła Dorothy, otwierając drzwiczki. — Nie wstąpisz na chwilę?

— Nie, dziękuję. Boję się, że trafię na Marion i przegadamy całą noc. Wiesz, jak z nią jest, kiedy raz się zacznie — powiedział. — Muszę się spakować i pozałatwiać parę spraw.

— Wobec tego jeszcze raz dziękuję ci za wszystko.

Życzę ci szczęśliwej podróży — powiedziała Dorothy, chcąc wyznać mu znacznie więcej.

— Cieszę się, że wszystko się wyjaśniło, Dorothy — powiedział Barron zapalając silnik. Po chwili zniknął jej z oczu w popołudniowej poświacie złotego słońca.

7

Dorothy odwróciła się i ku swojemu niezmiernemu zaskoczeniu zauważyła, że drzwi domu są otwarte, a w nich stoi uśmiechnięta Marion z wyciągniętymi do niej rękami. Dziewczyna rzuciła jej się w objęcia.

— A więc wróciłaś, córko marnotrawna! Wiedziałam, że cię znajdzie. Próbowełaś go chociaż zaprosić na chwilę? — zapytała Marion.

— Tak, ale... — Dorothy uśmiechnęła się, przypominając sobie słowa Barrona. — Był bardzo zajęty. Znowu wybiera się w jakąś podróż.

Dłoń Marion powędrowała ku policzkowi Dorothy w typowym dla niej geście.

— Aha, zanim zapomnę. Twoja koleżanka Marty nie przestaje wydzwaniać do ciebie i wypytywać. Biedna dziewczyna, o mało się nie zapłakała na śmierć. Próbowełam ją uspokoić, że na pewno nic ci nie jest, ale lepiej by było, gdybyś sama z nią porozmawiała.

— Dziękuję, Marion. Zaraz do niej zadzwonię. — Dorothy poczuła się bardzo ciepło. Nikt o niej nie zapomniał. — Rzeczywiście powinnam była komuś powiedzieć, że wyjeżdżam, ale w takich chwilach nie myśli się o pożegnaniach.

Następnego dnia w. pracy, Marty przywitała ją jak cudem odzyskaną siostrę. Nie mogąc się powstrzymać rozmawiały, przerywając sobie wzajemnie.

— Masz szczęście — powiedziała Marty. — Pan Armour bardzo się o ciebie niepokoił. Nie chciał o niczym słyszeć, musiał sam pojechać i cię odszukać. I bardzo dobrze, bo inaczej pewnie byś zginęła pod tym drzewem.

Koledzy i koleżanki w biurze również nie kryli radości z powrotu Dorothy. Shelley Britt jeszcze nie zjawiała się w pracy, lecz telefonowała, żeby się jej spodziewać później tego ranka.

Dorothy natychmiast zabrała się do pracy, by zdążyć choć z kilkoma rzeczami na przyjęcie Shelley. Przynajmniej pan Armour dał mi do zrozumienia, na czym stoimy, pomyślała Dorothy. Teraz nie będę musiała tracić czasu na domyślanie się wszystkiego i będę mogła się skoncentrować na egzaminach do szkoły. Mam tylko nadzieję, że nie zapomni o liście polecającym.

— Telefon do ciebie! — głos Darleen przerwał jej rozmyślenia. Jakby przywołany jej myślą, w słuchawce zabrzmiał głos Barrona.

— Dorothy, czy mnie słyszysz?

— Bardzo słabo — odparła. — Gdzie jesteś?

— Na lotnisku — powiedział. — Mój samolot odlatuje za dziesięć minut, -więc musisz uważać, co ci powiem, bo nie będę miał czasu powtórzyć — napięcie w jego głosie sprawiło, że puls Dorothy zaczął bić żywiej.

— Rozumiem — powiedziała, przysuwając bliżej notatnik.

— W naszych planach zaszła pewna zmiana. Shelley miała się ze mną spotkać na lotnisku. Mieliśmy we dwoje polecieć do Heidelbergu na bardzo ważne spotkanie, ale Shelley nie wróciła jeszcze z Puerto Rico.

Zostałaś więc tylko ty. Jesteś jedyną osobą w komisji, która wystarczająco orientuje się w jej pracach, by zająć miejsce Shelley. Musisz polecieć ze mną do Heidelbergu! Jedna osoba z komisji leci teraz ze mną, a ty spotkałabyś się na lotnisku z kimś z gabinetu burmistrza, kto będzie na ciebie czekał z paszportem. Nie masz zbyt wiele czasu na spakowanie, więc zabierz tylko to, co najpotrzebniejsze. Masz zarezerwowane miejsce na lot Lufthansy numer 309, o trzeciej czterdzieści pięć dziś po południu. Przepraszam, że działałam w takim pośpiechu, ale jak tylko znajdziemy chwilę oddechu, wyjaśnię ci wszystko — odłożyłam słuchawkę, nim miała okazję wyrazić swoje zdanie. Mimo całego mnóstwa wątpliwości i komplikacji, wywołanych niespodziewaną propozycją, wszystko ułożyło się szczęśliwie i o oznaczonej godzinie Dorothy siedziała w wygodnym fotelu w kabinie pierwszej klasy. Wszyscy wokół traktowali ją, jakby była co najmniej księżniczką. Jeden z osobistych doradców burmistrza załatwił za nią wszystkie formalności na lotnisku i jako jedna z pierwszych znalazła się w samolocie. Stewardessa przyniosła jej zaraz koktajl owocowy i przyjęła zamówienie na obiad, który miała zjeść później. Dorothy pomyślała, jak szybko zmieniło się jej życie przez tych kilka ostatnich dni. Nigdy przedtem nie leciała samolotem, a tu od razu podróż nad Atlantykiem. Była zdumiona, jak cicho leci tak olbrzymia maszyna. Po chwili niepewności na początku, czy aby na pewno zdoła oderwać się od ziemi, odprężyła się. Nacisnąwszy dźwignię z boku siedzenia rozłożyła je i zamknęła oczy. Później miała zamiar przeczytać wszystkie opracowania, które miała ze sobą w torbie, prócz jednego kostiumu i bielizny na zmianę. Postanowiła jak najlepiej przygotować się do spotkania i mieć w ma

łym palcu wszystkie szczegóły, o które mógł zapytać Barron. Niech się wreszcie przekona, że nie jestem jakąś tam niepozbitaną dziewczyną z prowincji, która albo się przewraca albo podaje mylne dane, pomyślała. Niech wie, że jestem warta pieniędzy, które mi płacą.

8

— Proszę zapiąć pasy — rozległ się głos stewardessy. — Za dziesięć minut wylądujemy na lotnisku w Stuttgarcie.

Dorothy naprędce złożyła papiery, trzymane na kolanach.

Zdziwiła się tylko, że wszystko minęło tak szybko. Wyjrzała przez okno. Daleko w dole majaczyły diamenty światła miasta na aksamicie ciemności. Wyprawa do Europy napełniła ją drzeniem oczekiwania i podniecenia, którego nie doznała nawet wtedy, gdy po raz pierwszy przyjechała do Nowego Jorku. Teraz była już mądrzejsza o wiele doświadczeń i lepiej przygotowana do pracy, a także pewniejsza siebie.

Dziękując bardzo uprzejmej stewardesie za wspólny lot, zapytała ją co dalej.

— Czy odprawa celna jest w samolocie?

— Nie, proszę pani. Wszystkim zajmie się pan Barron Armour, który czeka na panią w *weinstube* na lotnisku. Tylko proszę uważać na niemieckie piwo, jest przynajmniej z dziesięć razy mocniejsze niż amerykańskie. A ma tyle kalorii, co lody ze śmietaną! — powiedziała śmiejąc się dziewczyna.

— Będę o tym pamiętać. Do widzenia — odparła

równie przyjaźnie Dorothy i wzięła głęboki oddech wychodząc z samolotu wprost do gigantycznego rękawa, który wiódł od drzwi maszyny do głównego budynku lotniska.

Stojącemu przy wyjściu przystojnemu, młodemu mężczyźnie w zielonym mundurze podała paszport i kwity bagażowe. Starając się jak najdokładniej wymówić słowo usłyszane od stewardessy, powtórzyła:

— *Weinstube!*

— Na końcu korytarza skręci pani w lewo, potem w prawo i już jest pani na miejscu — odpowiedział mężczyzna piękną angielszczyzną. Dorothy postanowiła, że nie będzie już próbować robić wrażenia na miejscowych swą znajomością niemieckiego. Z zaskoczeniem stwierdziła, że lotnisko bardzo przypominało jej to, z którego odlatywała w Nowym Jorku, z wyjątkiem tego, że wszystkie napisy były po niemiecku. Z rozbawieniem przyglądała się reklamom świetlnym, identycznym jak te w Ameryce. Po chwili, idąc we wskazanym kierunku, znalazła *weinstube*, której szukała. Poczekała chwilę przed wejściem, oczekując, że spotka tam Barrona, lecz gdy nie pojawiał się przez kilka chwil, postanowiła wejść do środka. Gdy jej wzrok przyzwyczaił się do panującego wewnątrz półmroku, dostrzegła, że znalazła się w sali pełnej niewielkich stolików. Wszystko wydawało się być zrobione z drewna — krzesła, ściany i sufit. Gdzieś z poprzecznych belek pod sufitem zwisały zielone pnącza. W jednej ze ścian znajdowały się gigantyczne beczki z winem, a po przeciwnej stronie znajdowała się lada, przy której stało dwóch kelnerów, noszących długie białe fartuchy. Pograżeni byli w rozmowie z olbrzymim mężczyzną w śnieżnobiałej koszuli, stojącym za barem. Dorothy usiadła wreszcie przy stoliku najbliżej wejścia, by dostrzec Barrona, skoro tylko wejdzie do środka.

Natychmiast, jak spod ziemi, wyrósł przy niej kelner.

— *Bitte, Fräulein* — powiedział, pokazując na leżące przed nią menu.

— Przepraszam, ale nie znam niemieckiego. Twarz kelnera rozpogodziła się.

— *Amerikaner! Gut!* Ja mówić dobrze angielski.

Pewność siebie kelnera zrobiła na Dorothy duże wrażenie. Zaraz zaczął nakrywać jej stół do posiłku, mówiąc przez cały czas mieszaniną angielskiego i niemieckiego, z której niewiele rozumiała. Po wielu próbach udało jej się wytłumaczyć mu, że nie chce nic jeść, ale po naleganiach zgodziła się na kawałek sera i lampkę lekkiego białego wina, specjalności okolicy.

Gdy wrócił do niej z zamówieniem, zdała sobie sprawę, że ma przy sobie tylko dolary. Na szczęście kelner powiedział, że może zapłacić w każdej walucie. Gdy siedząca przy stole nie opodała para wstała do wyjścia, Dorothy z rozbawieniem dostrzegła, że mężczyzna miał na sobie krótkie, skórzane spodnie na ozdobnych szelkach. Dorothy zapytała o nie kelnera.

— One się nazywa *lederhosen, Fräulein*. Tradycja. *Alles...* wszystkie mężczyźni ich nosić. Podoba się? — zapytał, dostrzegając uśmiech na jej twarzy.

Dorothy przyznała, że tak, i próbując pokryć swe rozbawienie, pochwaliła smaczny ser i wino. Przez cały czas zastanawiała się, co mogło spowodować spóźnienie Barrona. Powoli popijając wino, nie spuszczała prawie oka ze szklanych drzwi. Gdy minęła godzina, zaczęła się naprawdę niepokoić. Wkrótce pojawił się kelner i zaproponował jej drugą lampkę wina. Dorothy odmówiła, lecz albo zrobiła to nie dość zdecydowanie, albo kelner źle ją zrozumiał, dość że po chwili stała przed nią nowa lampka, pełna złocistego trunku.

Nie zdążyła nawet pomyśleć, że nie należy do osób

obdarzonych mocną głową, gdy znów pojawił się przed nią kelner, tym razem w towarzystwie jakiegoś bardzo szczupłego mężczyzny, ubranego w uniform kierowcy. Spojrzawszy na jego twarz zadrżała, bowiem jego szczupła twarz z zaczesanymi do góry włosami, długim nosem i wąskimi wargami nadawała mu prawie okrutny wygląd.

— Ten człowiek dla pani — powiedział kelner i oddalił się.

Mężczyzna w liberii skłonił się nisko.

— Niech mi będzie wolno wyjaśnić — zaczął. — Mam przyjemność z panną Eaton, prawda?

Gdy Dorothy skinęła głową, on uśmiechnął się i kontynuował:

— Jestem Fritz, do pani usług. Czy mogę usiąść? — Znów skłonił się w jej kierunku. Po angielsku mówił bezbłędnie, z lekkim akcentem brytyjskim.

— Bardzo proszę. — Dorothy wskazała na krzesło obok. — Ale skąd pan mnie zna?

— Czeka pani na pana Armoura. Niestety, ważne spotkanie uniemożliwiło mu osobiste przybycie na pani powitanie — powiedział wolno, jakby delektując się niepewnością dziewczyny. — Mogę? — zapytał, sięgając po kawałek sera, pozostawiony przez Dorothy na talerzu i natychmiast pakując go sobie do ust. — Mmm, znakomity.

Dorothy stwierdziła, że zachowanie tego człowieka kontrastuje z językiem, jakiego używa. Poczekała jednak jeszcze chwilę, mając nadzieję, że przejdzie wreszcie do sedna sprawy. Także i przeszedł. — Jestem kierowcą pana Armoura. Mam panią odebrać z lotniska i zawieźć do Heidelbergu. Możemy już jechać? — spojrzał znacząco na talerz Dorothy.

— Nie, nie jadłam obiadu, jeżeli o to panu chodzi. Możemy zaraz jechać.

Fritz wstał i zapłacił rachunek. Po chwili znaleźli

się w głównej części lotniska, gdzie Fritz odebrał jej bagaż i szybkim krokiem skierował się ku drzwiom wyjściowym. Dorothy musiała dobrze wyciągać nogi, by dotrzymać mu kroku. Jakoś dziwnie się zachowuje jak na kierowcę, pomyślała. Od razu widać, że jest przyzwyczajony do wydawania poleceń. Pomógł jej usadowić się na wygodnej tylnej kanapie wielkiego srebrnego mercedesa, który przypominał samochód Barrona w Ameryce, z tą różnicą, że ten był trochę większy. Kierowca zwinnie wyprowadził samochód z parkingu lotniska, po czym znalazł się na przedmieściach. Po chwili Dorothy zorientowała się, że coś do niej mówi.

— ... Stuttgart jest położony na siedmiu wzgórzach, zupełnie jak Rzym. Teraz jedziemy w stronę autostrady, ale gdyby przybyła pani za dnia, pojechalibyśmy bocznymi drogami. Są znacznie piękniejsze i można o wiele więcej zobaczyć. Na przykład okolice Stuttgartu słyną z uprawy winorośli i znakomitych win, a samo miasto znajdowało się kiedyś na samym skraju średniowiecznego Schwarzwaldu. W okolicy jest mnóstwo ruin, a nawet lepiej zachowanych zamków z tamtych czasów. Opowiadanie Fritza sprawiło, że myślami przeniosła się w romantyczne czasy rycerzy. Mijały kilometry, a on o każdej mającej w oddali miejscowości opowiadał jej coś ciekawego, wszystko dla niego było związane z jakimś wydarzeniem historycznym.

— Wspaniale potrafi pan zachwalać swój kraj — odezwała się Dorothy z tylnego siedzenia. — Ale proszę pamiętać, że przyjechałam tu w interesach i nie będę miała zbyt wiele czasu na zwiedzanie.

— Ach, ci Amerykanie! — westchnął z udawanym oburzeniem kierowca. — Zawsze się gdzieś spieszcie. My,

Niemcy, też potrafimy ciężko pracować, ale nigdy nie stronimy od rozrywki.

Dorothy poczuła, że samochód zwalnia i zjeżdża z głównej drogi w stronę jodłowego lasu, za którym znajdowało się coś w rodzaju restauracji, mieszczącej się w olbrzymim, krytym strzechą domu, który bardzo przypominał jej zdjęcia widziane w podręcznikach historii i kontrastował z amerykańskimi baremi szybkiej obsługi, które w każdym zakątku Ameryki wyglądały tak samo.

— Przerwa w podróży— oznajmił kierowca. — Pan Armour powiedział, że po podróży na pewno będzie pani głodna.

— Miał rację. Ser, który zjadłam na lotnisku jeszcze bardziej zaostrzył mi apetyt.

Wystrój restauracji w środku był dokładną repliką średniowiecznego domu, z tą różnicą, że całe wnętrze zastawione było kwiatami o najróżniejszych barwach i przypominało oranżerię.

Usiedli przy stoliku przy oknie. Dorothy natychmiast zauważyła dziwne światełka, poruszające się powoli wśród ciemności nocy. Fritz wyjaśnił jej, że znajdują się na wzgórzu od strony rzeki Neckar, a światła po prostu sygnalizują obecność barek na rzece. Po kolacji, w czasie której miała okazję spróbować chyba wszystkich po trochu specjałów kuchennych okolicy, włącznie ze sznyclem z sałatką warzywną na ciepło i ciemnym, razowym chlebem, Fritz oznajmił, że czas ruszać w dalszą drogę. Uplynęła ona na opowiadaniu Dorothy o życiu w Vermont. Po chwili Fritz stwierdził, że mają z sobą wiele wspólnego.

Wkrótce zjechali z autostrady do Heidelbergu, gdzie Dorothy podziwiała całe ulice utrzymane w stylu z dawnych wieków, zastanawiając się, w jakim hotelu się za. trzymają.

— Nie w hotelu, *fraulein* — zaśmiał się Fritz, — Zamieszka pani w zamku z panem Armourem.

— W hotelu „Zamek”? — dopytywała się dziewczyna.

— W najprawdziwszym zamku!

Fritz zjechał z głównej drogi na nieoświetlony podjazd. Było zbyt ciemno, żeby dostrzec coś wyraźnie, lecz miała wrażenie, że jadą przez las, a droga wiedzie pod górę. Wreszcie zatrzymali się przed budowlą, wyglądającą na mały zamek, cały tonący w światłach. Fritz wyskoczył z auta i krzyknął parę słów do służby. Jeden z mężczyzn wziął torbę podrózną Dorothy, a pulchna kobieta w czarnym ubraniu i małym białym fartuszku podeszła do niej z uśmiechem.

— Jestem Trudi, *fraulein*. Zaprowadzę panią do pani pokoju. Idąc krok w krok za służącą, Dorothy rozglądała się wokół z podziwem. Nigdy wcześniej niczego podobnego nie widziała, chyba, że w kinie. Szeroka, dębowa klatka schodowa, wyłożona marmurami posadzka, połączane rzeźby i mnóstwo kompletnych zbroi i gobelinów — wszystko to sprawiało wrażenie, jakby po przekroczeniu progu cofnęła się w czasie o kilkaset lat.

— To jest pani pokój — uśmiechnęła się Trudi na widok zachwyty malującego się na twarzy Dorothy.

Olbrzymi pokój z ozdobnym sufitem mieścił łóżko z baldachimem, całą serię stylowych mebli i połączany kominek z wiszącym nad nim olbrzymim lustrem. Po drugiej stronie znajdował się cały szereg szaf, utrzymanych w takiej samej tonacji kolorystycznej, jak reszta pokoju — złocie i bieli. Dorothy zaniemówiła z zachwyty.

— *Herr Doktor* żałuje, ale nie będzie mógł pani tu dziś powitać

— przerwała milczenie Trudi.

— *Herr Doktor!* — zapytała Dorothy.

— Tak. Mam nadzieję, że będzie się tu pani dobrze czuła.

Podeszła do stolika, na którym stał bukiet wiosennych kwiatów.
— *Herr Doktor* prosił, żebym to pani przekazała. Trudi podała Dorothy kopertę i wyszła z pokoju.

Dorothy szybko otworzyła i zaczęła czytać.

Droga Dorothy!

Przepraszam, że nie zdążyłem na lotnisko, ale musiałem wyjechać w pilnej sprawie do Frankfurtu. Rozmowy są bardzo obiecujące. Wracam jutro rano. Mam nadzieję, że Fritz się Tobą zaopiekuje. Cieszę się, że mogłaś przyjechać, bo naprawdę bardzo cię teraz potrzebuję. Będziemy mieli dużo pracy!

Barron

Rozglądając się po pokoju, Dorothy odnosiła wrażenie, że **znalazła** się w muzeum. Spojrzała na łóżko i ziewnęła. Nie mogła znaleźć wyłącznika kryształowego kandelabru, nie chciało jej się też wołać Trudi, poza tym baldachim trochę, zasłaniał światło, więc położyła się i zasnęła.

Następnego ranka obudziła się i ujrzała Trudi krzątającą się po pokoju. Obok łóżka na srebrnej tacy leżało śniadanie — dzbanek gorącej kawy i dwie, jeszcze ciepłe bułeczki z dżemem. Dorothy usiadła na łóżku i rozłożyła na kolanach serwetkę.

— *Guten Morgen, Fraulein* — przywitała ją z uśmiechem służąca. — Dobrze się pani spało?

— Znakomicie, ale czuję się jeszcze trochę senna. To po podróży przez strefy czasowe — potrząsnęła głową, jakby chcąc odegnąć od siebie resztki snu.

— *Ach so* — powiedziała Trudi i sięgnęła za kotarę, gdzie musiał znajdować się wyłącznik światła, bo olbrzymi kandelabr zgasł.

— A teraz proszę jeść.

Położyła tacę na kolanach Dorothy i nim ta zdołała ją powstrzymać, naląła jej do filiżanki kawy z gęstą śmietaną. Dorothy nie chciała jej urazić, mówiąc, że pije tylko czarną kawę, lecz gdy tylko spróbowała smakowitego napoju, była zadowolona, że nie oponowała. Patrzyła, jak masło rozpływa się na gorącej jeszcze bułeczce.

— Może zjesz ze mną? — zapytała uprzejmie Dorothy.

— Nie, dziękuję. Ja już jadłam — podziękowała Tru-di. — Wczoraj wieczorem wyprasowałam pani rzeczy. Są już gotowe. Niewiele pani z sobą przywiozła.

— Dziękuję. Rzeczywiście, ale nie miałam zbyt wiele czasu przed wyjazdem. Będę się musiała za czymś rozglądać.

— Będzie pani miała sporo czasu.

— Właśnie tego nie jestem pewna. Mam wiele do zrobienia i chciałabym zacząć pracę, zanim pan Armour wróci.

— *Ja, ja. Herr Doktor* ma swój gabinet naprzeciw biblioteki. Ale najpierw niech pani choć weźmie kąpiel — zachochotała Trudi i pokazała jej drogę do łazienki.

Była przynajmniej tak duża, jak całe jej mieszkanie w Nowym Jorku, a w czarnej marmurowej wannie, otoczonej lustrami, mogłaby swobodnie pływać. Zanurzając się w ciepłej wodzie odczuła pokusę, by nie spieszyć się tak do pracy, lecz wrodzone poczucie obowiązku nie dawało jej spokoju. Wstała i wycierając się spojrzała krytycznie na swe ciało. Była zadowolona z wyników oględzin, lecz przypomniała sobie ostrzeżenie stewardessy co do kuchni niemieckiej.

Włożyła popielaty kostium, białą bluzkę z koronkowym kołnierzykiem i czarne pantofle. Przynajmniej nikt nie powie, że zamierzam kogoś uwieść, pomyślała, przypominając sobie uwagi Shelley Britt. Zadowolona z siebie zeszła na dół, chcąc od razu zabrać się do pracy.

Olbrzymie dębowe drzwi do biblioteki nie otwierały się łatwo i musiała użyć całej siły, żeby pokonać ich opór. Za to gdy znalazła się już w środku, zaparło jej dech z podziwu. Na wprost znajdował się wielki, ozdobiony płaskorzeźbami kominek, którego w środku mogłoby się swobodnie zmieścić na stojąco kilka osób. Przed kominkiem stał stół konferencyjny, teraz służący za biurko. Z lewej strony znajdowały się wysokie okna, takie same, jak na górze, w pokoju, gdzie spała. Wpadające przez nie promienie słońca oświetlały całe rzędy książek — od ziemi po sam sufit, który na oko znajdował się na wysokości sześciu metrów. W kącie była sporych rozmiarów drabina na kółkach. Więc tak dostają się na najwyższe półki, pomyślała. Przeszła wzdłuż kilku ścian, przyglądając się książkom. Wiele z nich oprawionych było w skórę i wyglądało na bardzo stare.

Po chwili dostrzegła mniejsze biurko, pełne nowoczesnego sprzętu biurowego, które kontrastowało ze stylowym wystrojem wnętrza. Położyła na nim swe rzeczy i zabrała się za sprawdzanie sprzętu, z którego większość знаła już dobrze.

Nagle z tyłu usłyszała dziwny, metaliczny dźwięk. Szybko odwróciła się i ujrzała, jak z potężnych rozmiarów zegara wynurza się kukułka, by dziewięć razy obwieścić światu, która godzina. Za każdym wychyleniem się ptaka, dwie znajdujące się pod nim drewniane figurki myśliwych poruszały się gwałtownie, mierząc do niego z fuzji. Po ostatnim dźwięku kukułka schowała się.

Już dziewiąta, pomyślała dziewczyna. Gdzie się podziewa Barron? Przecież napisał, że wróci wcześniej z Frankfurtu. Wstała zza swego biurka i podeszła do większego, żeby sprawdzić, czy nie ma na nim czegoś, czym powinna się zająć. Na samym środku stołu leżał stos kartek papieru, zaś na jednej z nich zauważyła równe pismo Barrona.

I znów się minęliśmy! Zostałem niespodziewanie wezwany do Monachium w sprawie nowych kontraktów. Obiecuję, że wrócę wieczorem i zabiorę cię na kolację. Proszę, zajmij się korespondencją, którą znajdziesz pod tą notatką. Podrób mój podpis, a przez resztę dnia zapoznaj się z domem i jego otoczeniem. Fritz dopilnuje, żebyś się nie nudziła.

Do zobaczenia!

B.A.

Przynajmniej tym razem dał mi coś do roboty, pomyślała. Wzięła listy, które okazały się rutynową korespondencją, więc za godzinę napisała wszystkie odpowiedzi i pozaklejała koperty. Rozglądając się dookoła stwierdziła, że nic więcej sama nie wymyśli, wyszła z biblioteki i udała się na poszukiwanie Trudi lub Fritza.

Sala naprzeciwko okazała się być wspaniale udekorowaną jadalnią, a następna za nią — salą balową, która zajmowała prawie całą szerokość tej ściany zamku. Podobnie jak w innych pomieszczeniach, wystrój głównie utrzymany był w biało-złotej tonacji. Podłoga lśniła jak wypolerowana, a gdzieś w tle rozbrzmiewała muzyka, prawdopodobnie walc. Musiała być w jakiś sposób zsynchronizowana z otwarciem drzwi, bowiem właśnie wtedy zaczynała grać. Tam znalazła ją Trudi i skierowała na dziedziniec, gdzie znajdował się Fritz.

Mył właśnie samochód w cieniu stajni. Dorothy poszła w jego stronę uważając, by nie potknąć się na wyłożonym kocimi łbami dziedzińcu, pomna tego, co zdarzyło się jej w Nowym Jorku.

Uśmiechnął się na jej widok.

— Dzień dobry, *fraulein*. Widzę, że radzi pani sobie znakomicie. Zatrzymała się o kilka metrów od samochodu, by nie ochlapała ją woda, którą spłukiwał pojazd.

— Jak dotąd, nie narzekam. Pan Armour poinformował mnie, że będzie pan tak miły i oprowadzi mnie po okolicy.

— Z przyjemnością.

Odłożył węża, zakręcił wodę i zdjął gumowy fartuch.

— Wystarczy. Lubię prowadzić auta, ale wprost nie znoszę się nimi zajmować.

Zaczęli od tyłów zamku, gdzie Dorothy dostrzegła wiele przybudówek. Dopiero gdy stanęli wyżej na murze, zorientowała się, że cała konstrukcja wzniesiona została na skale, której nagi fragment wystawał z góry. Podeszli na krawędź, na sam skraj, lecz Fritz nalegał, żeby się zbytnio nie wychylała, bo po drugiej stronie mur opada bardzo stromo. Po chwili ruszyli dalej.

Dorothy rozkoszowała się przepięknym widokiem zielonych gór, gęstym lasem, którego zapach przywiewał lekki wietrzyk i zamkiem, który z każdą chwilą coraz bardziej jej się podobał.

Po kilku godzinach spaceru Trudi wezwała ich na obiad. Dorothy chciała zjeść go razem ze służbą w kuchni, lecz dziewczyna nie pozwoliła. Zamiast tego posadziła ją samą przy olbrzymim stole w holu. Dorothy czuła się, jakby odgrywała jakąś scenę w filmie i chociaż rozkoszowała się otaczającym ją przepychem, instynktownie nie lubiła jeść sama i zastanawiała się, kto też zapłaci za jej pobyt w tak ekskluzywnym miejscu. Nie sądziła, że Barron jest aż tak bogaty, nie wyobrażała sobie też, by burmistrz Nowego Jorku zgodził się na takie wydatki.

Obiad był tyleż znakomity, co ciężko strawny. Zaczęło się od gorącej, gęstej zupy warzywnej, do której podano wielki kufel ciemnego piwa o lekkim smaku cytrynowym. Potem przysła kolej na danie główne — wspaniały, delikatny befsztyk z marchewką na słodko i frytkami, do

tego zielona sałata pokropiona octem. Dorothy olbrzymim wysiłkiem woli zrezygnowała z deseru, choć ciasta i lody zapowiadały się wyśmienicie.

Po obiedzie zorientowała się, że nie ma zbyt wiele do roboty. Nie chciała odrywać Fritza od jego obowiązków i nie chciała sama oddalać się zbyt od zamku. Poszła więc do swojego pokoju, gdzie miała nadzieję uciąć sobie krótką drzemkę i doprowadzić się do porządku. Otworzywszy pustą szafę przypomniała sobie, że nie ma się w co ubrać. Lepiej, żeby Barron jakoś temu zaradził. Jej rozmyślania przerwało pukanie do drzwi. Gdy Dorothy krzyknęła: Proszę!, do pokoju weszła Trudi, niewidoczna zza całego stosu pudeł. Za nią szedł Fritz z jeszcze większym ładunkiem, a za nim — dziewczyna przypominająca wyglądem Trudi, tylko młodsza i wyższa' Zaskoczona, Dorothy rzuciła się, by im pomóc. Ze śmiechem położyli wszystko na łóżku, po czym Trudi wyrzuciła pozostałą dwójkę za drzwi.

— To, moja droga, są ubrania, które wybrałam dla pani na polecenie *Herr Doktora*. Musiałam zgadywać, jaki nosi pani rozmiar, ale chyba mi się udało.

Dla Dorothy zaczęło się popołudnie jak z bajki. Cieszyła się jak dziecko w sklepie z zabawkami, mierząc po kolei wszystkie suknie, kostiumy, spódnice, bluzki, płaszcze, kapelusze i buty. Wszystko pasowało jak ulał. Domyśliła się, że Trudi musi mieć coś wspólnego z krawiectwem, inaczej nie udałoby jej się tak dokładnie dobrać rozmiarów. Jedyne rzeczy, których Dorothy nie wybrałaby sama dla siebie była dość frywolna, skąpa bielizna w jaskrawych kolorach. Nie wiedząc jak się wymówić, szybko spakowała ją do jednej z szaf.

Na koniec przymierzyła dwie doskonale uszyte suknie wieczorowe. Jedna z nich była w kolorze płomiennej czerwieni, druga z lekkiego, połyskującego złotem materia-

łu. Dorothy zapytała, dlaczego Trudi wybrała właśnie te dwie, była bowiem pewna, że nie znajdzie czasu na zabawę podczas swego krótkiego pobytu w zamku.

— Gdy *Herr Doktor* każe mi kupić stroje wieczorowe, nie zadaje mu dalszych pytań, tylko wykonuję polecenie. Może zaprosi panią do opery? — powiedziała Trudi z szelmowskim uśmiechem.

Obie zachichotały jak nastolatki. Po chwili rozległo się dyskretne pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Fritz. Skłonił się nisko i zapytał, czy Dorothy nie odebrałyby telefonu do *Herr Doktora*.

— Oczywiście — odparła. — Ale gdzie?

Fritz natychmiast przyniósł jej słuchawkę bezprzewodowego aparatu i wyszedł na korytarz. Najwidoczniej nie był przyzwyczajony spędzać zbyt wiele czasu w damskich buduarach.

— Biuro pana Armoura, mówi panna Eaton.

— Mówi Carl von Ritter — odpowiedział miły, męski głos z drugiej strony. Chciałem rozmawiać z panem Armourem.

— Przykro mi. Pan Armour jest teraz w Monachium i wróci dopiero wieczorem.

— Ach tak. Szkoda, ale myślę, że sprawa może poczekać do wieczora. Proszę mu tylko przekazać, że dzwoniłem.

Brzmienie jego głosu i starannie dobierane słowa sprawiły, że Dorothy poczuła sympatię do jego właściciela.

— Bardzo proszę o powtórzenie nazwiska, żebym go dobrze przekazała.

— Nazywam się Carl von Ritter — powiedział, po czym przeliterował nazwisko, pożegnał się i odłożył słuchawkę.

— Kto to był? — zapytała Trudi.

— Jakiś mężczyzna. Nazywa się von Ritter.

— Carl von Ritter? — spytała z niedowierzaniem służąca.

— Tak, co w tym dziwnego?

— To prawdziwy hrabia! — wyjąkała Trudi.

— Jak to miło ze strony hrabiego, że zadzwonił do *Herr Doktora*

— powiedziała Dorothy zastanawiając się, co też tak bardzo zaskoczyło Trudi. Z drugiej strony musiała przyznać, że prowadzenie interesów w wyższych sferach miało swoje niezaprzeczalne uroki.

9

Trudi natychmiast wyszła z pokoju, by zająć się przygotowaniami, bowiem jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, że hrabia von Ritter zamierza przyjechać do zamku. Przedtem poinformowała Dorothy, że von Ritterowie są rodziną osiadłą od wieków w okolicach Heidelbergu, i że wiele dobrego zrobili dla miasta, w tym dla samego uniwersytetu. Nadal należeli do najbogatszych ludzi w Niemczech, ale ich główne zainteresowania obracały się teraz wokół tworzenia nowych miejsc pracy, szczególnie w miejscach, z którymi czuli się uczuciowo związani.

— Kiedy go zobaczysz, z miejsca się zakochasz — powiedziała konfidencyjnie Trudi, jakby bojąc się, że ich ktoś podsłucha.

— Jest taki przystojny. Właśnie minęły trzy lata od śmierci hrabiny, a on jest nadal wolny. Ten zamek należy do rodziny, ale sam hrabia rzadko tu bywa. Ja sama widziałam go tylko raz i to z daleka. Pensje płaci nam Heidelberger Allgemeine Bank, o którym mówią, że też do niego należy.

Dorothy uśmiechnęła się, widząc, jakie wrażenie spodziewana wizyta hrabiego zrobiła na Trudi. Po jej wyjściu zajęła się wybieraniem stroju na kolację z Barronem. Chciała wypaść jak najlepiej, lecz nie miała zamiaru go

kokietować. Z wdzięcznością pomyślała o nim, że zatroszczył się o to, by miała się w co ubrać. Prawda, że Trudi spędziła wiele czasu wybierając stroje, ale pomysł musiał przecież pochodzić od niego.

Nie mogła też oprzeć się fali wspomnień o pocałunkach, które on wydawał się traktować mimochodem, a które tak wiele znaczyły dla niej. W tle czaił się jednak cień Shelley Britt, i Dorothy zdała sobie sprawę, jak nieszczęśliwie zakochała się w Barronie.

Przerwała przymiarzkę strojów i usiadła w fotelu stojącym przed oknem, pełna podziwu dla widoku na okolicę, jaki rozpościerał się przez jej okno.

Wchodząca do pokoju Trudi zawahała się przez chwile, czy powinna przerywać zachwyty Dorothy. Przemówiła cicho:

— Widzę, że ci się tu bardzo podoba.

— Tak, Trudi. Wszystko przypomina mi moje rodzinne miasto.

— Chciałam powiedzieć, że *Herr Doktor* właśnie przyjechał, i że kolacja będzie podana za godzinę.

Dorothy natychmiast przebrała się w zielony kostium. Próbowwała opanować przyspieszone bicie serca, ale nie mogła doczekać się chwili, gdy go ujrzy.

Barron wyglądał na zmęczonego. Nawet nieregularne światło świec nie było w stanie ukryć podkrążonych oczu. Dorothy zastanawiała się, czy on się czasem nie przepracowuje. Nawet przy jego zdolnościach i niespożytej energii kiedyś musiał się skończyć zapas jego sił. Będąc blisko mężczyzny, który był dla niej zawsze tak dobry i dwukrotnie wyratował ją z opresji, czuła się dumna, że może mu pomóc. Wiedziała, że potrafi go odciążyć w pracy, co w jakimś stopniu pozwoli jej odwdziaczyć się za okazaną pomoc.

Przez cały wieczór Barron zachowywał się poprawnie,

lecz wydawał się zachowywać pewien dystans. Nie patrzył w oczy Dorothy i skoncentrował się wyłącznie na jedzeniu. Dorothy była nawet z tego zadowolona, bo ułatwiało jej to dotrzymanie obietnicy danej Shelley. Sama spróbowała wszystkich potraw, lecz jadła niewiele, mając na uwadze swą figurę. Poddała się, gdy Trudi podała chrupkie, apetyczne pierogi, które, jak zapewniała, przygotował sam szef kuchni. W delikatnym, lekko pikantnym sosie, były po prostu znakomite. Czując się winna, drugi raz nie mogła się powstrzymać przy deserze — bawarskim torcie czekoladowym, składającym się z kilku warstw i z poluk-rowaną górą.

Zastanawiała się, jak Niemcom udawało się schodzić z wagą poniżej stu kilogramów przy takiej kuchni! Albo bardzo ciężko pracują, pomyślała, albo odkryli jakiś sekret, o którym my w Ameryce nie mamy pojęcia.

Po jedzeniu służba szybko uprzątnęła ze stołu i zostali sami we dwojkę, rozdzieleni trzymetrową szerokością stołu. Barron od niechcienia popijał kawę, bawiąc się ciastkiem. Co mu się stało? Może żałuje, że mnie tu sprowadził? Dorothy nie wiedziała, co powiedzieć, lecz wreszcie zdecydowała się na to, co najbezpieczniejsze: — Dziękuję ci za stroje, które mi przysłałeś. Są naprawdę bardzo piękne.

Barron jakby z wysiłkiem spojrzał na nią i zmusił się do uśmiechu.

— Bardzo ci w nich ładnie. W tym względzie Trudi można zaufać.

— Pomagała jej córka. Ja sama nie potrafiłabym dobrać ich tak dobrze. Cieszyła się, jakby sama dla siebie robiła zakupy.

— Wspaniale — Barron pojaśniał z zadowolenia. — Przyznaj, Dorothy, że są oni bardziej rodziną niż służbą.

— Masz rację. Zawsze robią jakby więcej, niż do nich

należy. Ucieszyła się, że Barron znów nazwał ją po imieniu, i że jego myśli zwróciły się ku przyjemniejszym tematom.

Zdecydowała, że nadszedł czas, żeby się czegoś dowiedzieć.

— Nie zarabiają chyba zbyt wiele, bo inaczej nie mógłbyś sobie na nich pozwolić.

— Tu się z tobą nie zgodzę — przerwał Barron. — Prawda, że mieszkanie i wyżywienie mają za darmo, ale kosztują dość sporo. Sam nigdy nie mógłbym sobie na nich pozwolić. Zamek i wszystko, co tu widzisz dookoła, zawdzięczamy wspaniałomyślności hrabiego von Rittera.'

— Aha, przypomniałeś mi, że miałeś dzisiaj od niego telefon. Zadzwoił, kiedy cię nie było. Nie miałam pojęcia, że jest naszym gospodarzem. Wiadomość zostawiłam ci na biurku — powiedziała Dorothy, zadowolona, że wyjaśniła przynajmniej część z intrygujących ją pytań.

— Dziękuję — skinął głową Barron.

Bardzo mi się podoba moje nowe miejsce pracy. Wszędzie tyle książek, zupełnie jak w gabinecie mojego ojca.

— Cieszę się — odparł zdawkowo.

— Hrabia musi być bardzo bogaty, że pozwala sobie na taką hojność — nie dawała za wygraną Dorothy.

— Jest bardzo bogaty, ale nie ma nic przeciwko wydawaniu pieniędzy — przyznał. — Oczywiście dzięki kontraktowi w Nowym Jorku może wiele zarobić. Bez jego pomocy i kontaktów w kręgach arystokracji nie wiem, czy udałoby mi się tutaj załatwić chociaż dziesiątą część tego, co zrobiłem. Będiesz miała okazję się z nim zobaczyć. — powiedział chłodno.

— Będzie mi bardzo miło — powiedziała Dorothy, lecz przez cały czas zastanawiała się, co też może być powodem tak gwałtownej zmiany w zachowaniu Barrona. Nie mówi mi wszystkiego.

— Przepraszam, że sprowadziłem cię tu bez uprzedzenia, ale okazało się, że wyjdzie to na dobre. Dowiedziałem się, że Shelley zostaje w Puerto Rico jeszcze przez tydzień, więc będziesz mi bardzo potrzebna.

— Będę się starać — obiecała Dorothy.

W jadalni pojawił się Fritz niosąc karafkę koniaku i dwa pękate kieliszki. Barron usiadł wygodnie w fotelu i wyjął cygaro z mahoniowego pudełka, przyciął je i zapalił.

— Powiedz mi, czy do tej pory wszystko ci się tutaj podoba? — zapytał, jakby dopiero teraz się odprężył.

— Trudi i Fritz bardzo mi pomagają. Jestem zachwycona. Powiedz mi tylko, dlaczego wszyscy nazywają cię tu *Herr Doktor!*

Barron uśmiechnął się, podnosząc do ust kieliszek koniaku.

— Mówią tak do wszystkich — do prawników, lekarzy, profesorów... Może dlatego, że lubią tytuły. Czuję się dziwnie, gdy mnie tak nazywają, ale już odkryłem, że nic się w tym względzie nie da zrobić. Podobnie lubują się we wszelkiego rodzaju mundurach. Tutaj nawet zamiatacze ulic wyglądają jak admirałowie Królewskiej Marynarki Wojennej.

— Też mi się to wydawało dziwne, ale może po prostu każdy z nich jest dumny z pracy, którą wykonuje?

— Masz rację — przyznał Barron i wbił wzrok w trzaskający na kominku ogień.

Zaległa cisza, a Dorothy zastanawiała się, jak sformułować następne pytanie.

— Posłuchaj. Wiem, że może przesadzam, ale wydaje mi się, że Fritz jako lokaj jest trochę nie na miejscu. Jakby... Nie chodzi o to, że źle się spisuje jako kierowca czy służący, ale mam wrażenie, że tak naprawdę jest kimś innym.

— Jesteś bardzo spostrzegawcza — ożywił się Barron,

wstając z fotela i uśmiechając szeroko. — Też odniosłem podobne wrażenie. Możliwe, że w ten oto dyskretny sposób hrabia trzyma rękę na pulsie. Co nie znaczy, że robi źle, a może jest to tutaj ustalonym z góry zwyczajem. Jednak z mojej strony nie musi się niczego obawiać. A teraz wybacz, ale czuję się bardzo zmęczony i chciałbym się położyć. Tobie radzę to samo, chyba że coś jeszcze cię gnębi.

— Nie, to wszystko. Z wyjątkiem jednej rzeczy... — zawahała się Dorothy. Barron roześmiał się na cały głos.

- Pytaj.

— Zastanawiałam się, jak długo tu jeszcze będziemy. Przez kilka następnych dni Dorothy nie opuszczała zamku, zaś Barron wyjechał tylko jeden raz, na krótką konferencję do Heidelbergu. Mieli bardzo dużo pracy. Trzeba było sporządzić wiele sprawozdań, przesłać je do Nowego Jorku, odpowiadać ciągle na mnóstwo pytań i zająć się korespondencją z całą Europą. Pracowali po kilkanaście godzin dziennie z krótkimi przerwami, w czasie których Trudi przynosiła im coś do zjedzenia. Wieczorem, po pracy, rozchodzili się na chwilę do swoich pokojów, by odświeżyć się trochę, po czym spotykali się w jadalni na kolacji. Dorothy była pełna podziwu dla Barrona, który na jej oczach przemienił się z wytwornego człowieka towarzystwa, jakiego znała w Nowym Jorku, w niesłychanie pracowitego mężczyznę. Dorothy cieszyła się z tego, bowiem atmosfera powagi nie sprzyjała flirtom i sama mogła zająć się budowaniem obrazu siebie jako profesjonalistki — kobiety interesów. Czasami tylko żałowała, że po pobycie w Europie nie zostaną jej inne wspomnienia prócz zamku i okolicy, ale cieszyła się, że praca z każdą chwilą zbliża ją do celu.

Barron jakby czytał w jej myślach. Podczas kolacji w sobotę wieczorem, wstając od stołu, powiedział:

— Udało nam się wiele osiągnąć. Więcej, niż się spodziewałem. A w niedzielę komisja odpoczywa — uśmiechnął się do niej i ciągnął: — Będziemy musieli zostać przynajmniej do końca tego tygodnia, ale jutro, jeżeli się zgodzisz, wybierzemy się na wycieczkę po okolicy. Dorothy z radością przystała na propozycję. Trudi przygotowała im olbrzymi koszyk z jedzeniem, na wszelki wypadek, jak to ujęła, i oboje wcześniej wyjechali z zamku. Przeszli na piechotę prawie cały Heidelberg, włącznie ze słynnym uniwersytetem i znajdującą się nie opodal „ścieżką filozofów”. Dorothy wyczytała w jednym z przewodników, że w dawnych latach przechadzali się nią myśliciele, szukając natchnienia. Dorothy i Barron ze śmiechem stwierdzili, że co prawda takowe na nich nie spłynęło, za to bardzo zgłodnieli. Postanowili wrócić do samochodu i zjeść gdzieś w okolicy jakiś przyzwoity posiłek. Jadąc wąską, wiejską drogą, pośród zabudowań, odkryli wiejską gospodę. Była to po prostu jadalnia domowa z dostawionymi dwoma stołami dla gości. Czysta i przytulna, wychodziła oknami na pola uprawne. Na dźwięk dzwonka, którym oznajmili swoje przybycie, wyszła do nich postawna kobieta, wycierając ręce w olbrzymi fartuch. Zamówili coś, na co nie trzeba było długo czekać. Grube płaty wędzonej szynki były wspaniałe, a jarzyny smakowały tak, jakby przed chwilą je zebrano. Barron znakomicie władał niemieckim, więc Dorothy nie wtrącała się do rozmowy, rozkoszując się jego obecnością i tym, że najwyraźniej udało im się znaleźć nowy sposób na siebie. Gospodyni odprowadziła ich do samochodu, machając im długo na pożegnanie. Dorothy zapytała, o czym tak rozprawiali. Barron w odpowiedzi najpierw zaczerwienił się, co nigdy dotąd mu się nie zdarzyło w jej obecności, a potem wyjąkał:

— Wiesz... powiedziała, że cieszy się, że nam tak smakowało, i ma nadzieję, że ja i moja... żona wrócimy tu jeszcze.

Dorothy dobrze wiedziała, dlaczego Barron tak zareagował. On i ona razem, cudowna bliskość mężczyzny, którego kocha...

W poniedziałek oboje wpadli w wir pracy i żadne z nich nie wróciło wspomnieniem do słów gospodyni, lecz dla Dorothy jej słowa stały się pożywką dla nowych marzeń. Musiała sama przed sobą przyznać, że choć sam pomysł jest zupełnie nieprawdopodobny, to ma dla niej wiele zalet.

We wtorek Barron oznajmił jej, żeby przygotowała się do dłuższej podróży. Mieli pojechać samochodem z Frit-zem w roli kierowcy. Najpierw Monachium, potem Garmisch-Partenkirchen nad granicą austriacką, a na koniec powrót na północ, do Kolonii. W niedzielę mieli samolotem wrócić do Stanów.

Trudi zasmuciła się, bo przez tych kilkanaście dni bardzo zaprzyjaźniła się z Dorothy. Pomagając pakować rzeczy na podróż, wymogła na niej przyrzeczenie, że odwiedzi ją jeszcze w zamku, zaś dziewczyna ze swej strony żałowała, że nie da się odwlec terminu wyjazdu. Najchętniej zostałyby w zamku przez całe życie, jak księżniczka.

Dopiero w drodze Barron, wyczuwając jej nastrój, zdradził jej niespodziankę:

— Czuję to samo, co ty, ale nie martw się. Nasz wspaniały gospodarz wydaje przyjęcie w sobotę wieczorem. Mamy być jego honorowymi gośćmi na prawdziwym balu, utrzymanym w średniowiecznym stylu. Jeżeli przygotowuje wszystko, tak jak do tej pory, możesz się spodziewać niezapomnianych wrażeń.

W Monachium po raz pierwszy spotkała hrabiego von Rittera. Był młodszy, niż się spodziewała i na swój sposób prawie tak samo przystojny jak Barron. Gdy zatelefonował do

hotelu, by zaprosić go na drinka i dowiedział się, że przyjechał z kobietą, nalegał, by dołączyła do nich.

— Ach, więc to pani jest tą słynną panną Eaton! -wykrzyknął na powitanie. — Jest pani tak piękna jak pracowita. Będzie to dla mnie zaszczyt gościć panią na balu w zamku. Pani piękność przygasi nasze rodzime, nie oszlifowane diamenty.

Dorothy poczuła dumę, choć z całych sił powtarzała sobie, że to tylko pochlebstwa.

Wyprawa poszła zgodnie z oczekiwaniami. Barronowi udało się pozałatwiać wszystko zgodnie z planem. W Kolonii, po niezbyt długim spotkaniu w interesach, znaleźli nawet chwilę czasu na zwiedzenie miasta. Największe wrażenie wywarła na Dorothy słynna katedra. Trudno jej było uwierzyć, że podczas wojny tak bardzo została zniszczona, bo prace renowacyjne dały nadzwyczajne wyniki.

Barron zaproponował Dorothy przejażdżkę łodzią po Renie i poprosił Fritza, by ten zaczekał na nich w dole rzeki, a sam poprowadził Dorothy na jedną z łodzi wycieczkowych. Przez cały czas grała na niej orkiestra ubrana w tradycyjne stroje. Malownicze brzegi rzeki co jakiś czas odsłaniały ruiny jakiegoś zamku. Po chwili na środku rzeki pojawiła się słynna skała nimfy Lorelei.

Jednak zmęczenie dało o sobie znać i Dorothy musiała się zdrzemnąć pod sam koniec podróży. Obudziła się odświeżona, gdy dobili delikatnie do brzegu, czując, że opadło z niej całe napięcie, jakie nagromadziło się w niej podczas kilku tygodni wyętej pracy. Z uśmiechu Barrona wnosila, że też wypoczął. Uwadze Dorothy nie umknęły zawistne spojrzenia dwóch siedzących nie opodal kobiet. Pewnie myślą, że jesteśmy małżeństwem, pomyślała, przypominając sobie słowa gospodyni.

Fritz czekał na nich niedaleko przystani, wyprostowany, oparty o srebrną limuzynę. Zawiózł ich na obiad do starego zamku na wzgórzu, którego okna wychodziły na rzekę. Był większy niż ten, w którym mieszkała i pracowała przez ostatnie dwa tygodnie i w całości odrestaurowany dla turystów. Korzystając z chwili przerwy, poprosiła Fritza, by nadał dla niej całe naręcze pocztówek, po kilka dla Marty i Marion, dla Darleen i dla ojca. Nazbierało się ich sporo, bo gdziekolwiek się zatrzymywali, nie mogła się oprzeć, by nie kupić choć jednej. Było jej trochę głupio, że wysyła wszystkie razem, ale napięty program ostatnich dni nie pozwalał na nic innego.

— Udało nam się osiągnąć więcej, niż mogliśmy przypuszczać

— powiedział z zadowoleniem Barron popijając piwo. —

Burmistrz będzie w siódmym niebie! Nie masz pojęcia, jak się cieszę! Bez ciebie byłoby to niemożliwe. Jesteś cudowna!

Podniósł szklankę w geście toastu.

— Ja? Przecież robiłam tylko drobne rzeczy — wymawiała się Dorothy, jednak czuła rozpierającą ją dumę.

— Nieprawda! Nie poradziłbym sobie bez ciebie. Stuknął jej szklankę swoją.

— Nasze zdrowie!

10

— Trudi! Będziesz musiała za mnie wybrać, bo ja się nie mogę zdecydować.

Na łóżku Dorothy leżały dwie suknie wieczorowe, jedna złota druga srebrna. W zeszłym tygodniu, gdy po raz pierwszy zobaczyła swą garderobę, nie poświęciła im zbyt wiele uwagi nie sądząc, by miała okazję kiedykolwiek je ubrać. Teraz trzeba było na gwałt podjąć decyzję.

Trudi ciężko westchnęła.

— Przecież każdą z nich próbowałam przynajmniej dziesięć razy. W obu wyglądasz znakomicie. Przecież ja nie mogę za ciebie wybierać — załamała dłonie.

— To mój pierwszy prawdziwy bal, Trudi — powiedziała na wpół wesoła, na wpół smutna Dorothy. — W prawdziwym zamku z bardzo przystojnym hrabią.

— O Boże, zapomniałam o hrabim! — zakryła twarz rękami Trudi.

Dorothy zorientowała się, że właśnie przypomniała jej o wielu szczegółach, których musiała dopilnować przed uroczystością, i że zaraz jej przyjaciółka wybiegnie przeczesywać zamek w poszukiwaniu najmniejszego choćby pyłku.

— Wybieraj! — powiedziała twardo Dorothy. Trudi zawahała się przez moment, wreszcie wskazała

na jedną z sukien. W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

— Proszę wejść — odpowiedziały obie równocześnie.

W drzwiach stanął uśmiechnięty Fritz, trzymając w rękach małą, płaską paczuszkę. Podał ją Dorothy i nic nie mówiąc wyszedł z pokoju, puściwszy wcześniej porozumiewawcze oko do Trudi.

Dorothy otworzyła zawiniątko. Za plecami usłyszała westchnienie zachwytu:

— *Wunderbar!*

Był to diadem. Prosty, delikatny w formie, zrobiony ze srebra. Na dołączonym doń bileciku widniały tylko słowa: „Z wyrazami szczerego podziwu.” Nie było żadnego podpisu, ale Dorothy wiedziała, od kogo pochodził prezent.

— Załatwione! — wykrzyknęła zadowolona Dorothy.

Do rozpoczęcia balu zostało jeszcze sporo czasu. Dorothy postanowiła wziąć kąpiel, lecz ani na chwilę nie chciała rozstać się z diademem. Leniwie przeciągając się w spienionej wodzie, co jakiś czas spoglądała na prezent. Cieszyła się na wspomnienie ciepłych słów Barrona, a puls zaczął jej bić żywiej w oczekiwaniu atrakcji wieczoru.

Na szczęście deszcz, który zapowiadał się od wczesnego popołudnia, przeszedł bokiem, więc otwarto na oścież wszystkie okna zamku. Delikatny letni wietrzyk nappełnił każdy jego kąt zapachem lasu.

Dorothy wyglądała jak prawdziwa księżniczka. Światła odbijały się i tańczyły tysiącami ogników na jej srebrzystej sukni i diademie, a dźwięki walca, dochodzące z dołu, nadawały wszystkiemu oprawę tajemniczości.

Na chwilę zatrzymała się w otwartych drzwiach sali balowej, podziwiając tańczących i wykwintne stroje gości stojących pod ścianą.

Wokół kręciło się całe mnóstwo służby, która, jak przypuszczała Dorothy, została specjalnie wynajęta na tę okazję. Lokaje nosili stylizowane zbroje i białe tuniki, zaś kobiety służące ubrane były w suknie przypominające stylem średniowieczne stroje. Pod oknami znajdował się cały rząd krzeseł obitych złotą tapicerką. Dorothy zawahała się przez moment, zwłaszcza gdy przypomniała sobie, że miała być gościem honorowym hrabiego. Rozejrzawszy się nerwowo dookoła, ujrzała wrzeszcie Barrona, który rozmawiał z grupką mężczyzn po prawej stronie sali. Gdy ją rozpoznał, zrobił parę kroków w jej kierunku, lecz nagle pomiędzy nich wkroczył von Ritter. Lekko zmarszczywszy brwi Barron z powrotem dołączył do grupy znajomych, zaś elegancko ubrany hrabia skłonił się nisko przed Dorothy.

— Niewiarygodne! Wygląda pani wprost nieziemsko. Przez całe wieki zamek ten nie gościł tak pięknej kobiety — powiedział z entuzjazmem. Dorothy zaczerwieniła się lekko, uważając, że tym razem przesadził z komplementami.

— Jestem zaszczycona, panie hrabio. Przygotował pan iście królewski bal. Nigdy dotąd nic podobnego nie widziałam. Czy często wydaje pan takie przyjęcia?

— Tylko gdy mam okazję gościć tak piękną damę — odparł hrabia, kłaniając się ponownie. — Czy pozwoli pani, że poproszę ją do walca? — Z przyjemnością. Muzyka gra tak pięknie.

Hrabia ujął ją za rękę i poprowadził na parkiet. Trzeba było przyznać, że jest znakomitym tancerzem. Prowadził pewnie i lekko, nie odzywając się ani słowem, lecz patrząc jej w oczy na tyle często, by mogła z nich odczytać, jak dobrze czuje się w jej towarzystwie. Rozglądając się dyskretnie dookoła stwierdziła, że tworzą bardzo atrakcyjną parę, co poznała po spojrzeniach rzucanych im przez resztę tańczących. Szczerze się zmartwiła, gdy muzyka umilkła.

— Tańczy pan wyśmienicie. Dziękuję panu, hrabio.

— Cała przyjemność po mojej stronie, *liebchen* — powiedział hrabia, niezbyt dyskretnie zaglądając jej w dekolt.

Ledwo Dorothy zdążyła podciągnąć suknię, znów rozbrzmiały dźwięki muzyki i poprosił ją do tańca inny mężczyzna. Ten sam scenariusz powtarzał się kilkakrotnie. Ledwo zdążyła skosztować szampana, jakiś mężczyzna prosił ją do tańca. Jeszcze dwukrotnie zatańczyła z hrabią, przez cały czas mając wrażenie, że ten do czegoś zmierza. Chciała jak najszybciej odnaleźć Barrona, by z nim porozmawiać i zatańczyć, ale za każdym razem coś im przeszkadzało — albo Dorothy była proszona do tańca, albo Barron gdzieś zniknął.

Nagle rozległ się dźwięk gongu, oznajmiający, że podano do stołu. Goście brawami podziękowali kłaniającej się orkiestrze i wszyscy przeszli do jadalni, tej samej, w której jadła samotnie Dorothy, lecz tym razem sala prezentowała się zupełnie inaczej, co należało przypisać olbrzymiej ilości kwiatów. Po drodze wreszcie odnalazł ją Barron.

— Dobrze się bawisz? — spytał z sarkazmem w głosie.

— Tak — odparła Dorothy. — Uważam, że przyjęcie jest znakomite.

Co go napadło, zastanawiała się, wyczuwając w jego głosie niechęć. Goście stali rozmawiając w małych grupkach do chwili, gdy wszedł hrabia i poprosił ich, by zajęli miejsca. Zaprowadził Dorothy i Barrona na honorowe miejsca, sadzając Barrona po prawej, a Dorothy po swej lewej stronie. Natychmiast zjawiała się służba, nalewając gościom wina. Dorothy podziękowała, wymawiając się ilością wypitego szampana. Nagle ujrzała, że lokaje zajęli się zamykaniem okien w jadalni. Nie mogąc nigdzie dostrzec Fritza, zapytała jednego z kelnerów, co było tego przyczyną.

— Od strony gór nadchodzi burza — odparł. — Nie chcemy, żeby zepsuła przyjęcie.

Dorothy pomyślała, jak wspaniale musi wyglądać burza w takim otoczeniu, rzecz jasna, gdyby podziwiać ją z zamku.

Hrabia niestety nie pogardził kolejną porcją wina i teraz wyraźnie było widać, że zaczyna być trochę pijany. Mówił głośniejszym niż zwykle, i stał się bardzo wylewny, gratulując Barronowi sukcesów w interesach. Barron czuł się nieswojo.

— To prawda, ale musisz przyznać, że sam też na tym nieźle wyjdiesz.

— Nie ma dwóch zdań — hrabia uśmiechnął się. — Ale najbardziej cieszę się, że poznałem tę piękną kobietę.

Dorothy nie czuła się dobrze w roli podziwianej, a zapędy hrabiego bynajmniej nie szły jej w smak, lecz nie chciała jakimś nieostrożnym słowem zepsuć wyników misji Barrona. Poza tym słyszała gdzieś, że mały flirt jest przyjętym we wszystkich kręgach w Europie.

Gdy podano danie główne, gwar przycichł, a goście skupili się na jedzeniu. Dorothy skończyła wcześniej, i ku swemu zaskoczeniu, po przeciwnej stronie stołu, kilka miejsc poniżej, zobaczyła uśmiechniętą twarz Fritza.

Hrabia musiał zauważyć jej zaskoczenie i nachylił się do niej.

— Moja droga, to jest Fritz Geppert, moja prawa ręka. Przez ostatnich parę tygodni pełnił rolę, że się tak wyrażę, stróża domowego. Prowadzę wiele interesów w różnych miejscach, i chociaż jesteś znakomity w tym, co robisz — skinął głową w stronę Barrona — pańskie oko konia tuczy.

Wyprostował się na krześle, najwyraźniej zadowolony z zaskoczenia malującego się na ich twarzach, tymczasem Barron próbował opanować gniew. Sytuację rozwiązał

jeden z kelnerów, zapowiadając występ mieszanego chóru złożonego ze służby. Ludowe pieśni niemieckie w ich wykonaniu przywiodły Dorothy na myśl przejażdżkę łodzią po Renie. Kiedy skończyli, wśród rześzystych oklasków wniesiono deser. Hrabia von Ritter przeprosił Barrona, który wydawał się przyjąć przeprosiny.

Dorothy zdecydowała, że powinna spróbować jakoś rozweselić Barrona i odezwała się do hrabiego, ale na tyle głośno, by i Barron dosłyszał.

— Hrabio, słyszałam, że w waszym kraju jest wiele szlachty, ale czy macie tu dużo baronów?

Oczy hrabiego zwięzły się, bo zrozumiał intencję dziewczyny.

— Oczywiście. Ale nie takich jak ten pani Barron, który tu siedzi. Dorothy zachichotała, mając nadzieję, że rozbawi tym Barrona, lecz on nagle zerwał się z krzesła z wściekłą miną, i rzucając serwetkę na talerz, wyszedł szybkim krokiem z sali. Hrabia zauważył reakcję dziewczyny i pochylił się, szepcząc jej konfidencyjnie do ucha:

— Uspokój się, moja droga. Nie bierz tego aż tak poważnie — jedną ręką objął ją, a drugą gładził jej odkrytą dłoń. — Poza tym... tak jest lepiej — spojrzał jej znacząco w oczy.

— Pewnie próbowałby odegrać rolę przyzwoitki, kiedy wyśhźniemy się razem za chwilę na górę — uśmiechnął się do mej dyszącym żądzą, złowrogim uśmiechem.

Dorothy aż wzdrygnęła się ze złości i urażonej dumy. Więc wszystkie jego komplementy i czułe słówka miały ją zwabić do jego sypialni! Niedoczekanie! Dorothy poczuła, że dostaje gęsiej skórki, odsunęła krzesło, wyrwała się z jego objęć i chciała uciec z sali. Próbował ją zatrzymać, lecz wtedy, ku zaskoczeniu wszystkich gości, wymierzyła mu zamaszasty policzek.

Wystarczyła chwila, by cudowna bajka zamieniła się w koszmar. Wybiegając z zamku pierwszym dogodnym wyjściem, nie pamiętała o burzy, szalejącej na zewnątrz. Natychmiast poczuła na twarzy bicze grubych kropli deszczu. Nie wiedziała, w którą stronę zmierza, bo trupioblade światło błyskawic nadawało całej okolicy niesamowity wygląd. W świetle jednego z błysków dojrzała altanę w środku ogrodu, do której postanowiła się dostać.

Ależ ze mnie idiotka! wyrzucała sobie, a wiatr wpychał jej słowa z powrotem do gardła. Wchodząc w zupełnej ciemności do altany, potknęła się o taczki i wylądowała w piasku. Przykucnęła, otrzepując się i drżąc z zimna na całym ciele.

Dlaczego tak musiało się skończyć? Wszystko przecież szło tak dobrze — nie zrobiłam żadnego głupstwa, jak w Nowym Jorku... A może to znów jakiś figiel losu?

— Ubierz to — usłyszała za plecami i wzdrygnęła się, wstając na równe nogi. W ciemności niewyraźnie dostrzegła wysoką sylwetkę Barrona, który podawał jej swój płaszcz.

— Proszę, ubierz to — powtórzył.

Mimo przyjaznej oferty, ton jego głosu był surowy.

— Wyszedłem, żeby się trochę ochłodzić i zastała mnie burza.

— Och, Barron. Tak mi przykro — zatkała Dorothy i przytuliła się do niego, a on instynktownie objął ją, jakby chciał obronić przed całym światem. — Trzymaj mnie tak — wyszeptała.

Szukając jego twarzy, wspięła się na palce i wtuliła swe usta w jego wargi. Czuła, że nie napotyka oporu, a mężczyzna jej marzeń poddawał się nastrojowi chwili. Dorothy wydało się przez chwilę, że są sobie przeznaczeni.

Barron powoli zakończył pocałunek, wtedy ona położyła my głowę na piersi.

— Przepraszam, że tak się zachowałem — przerwał milczenie Barron. — Ale ten von Ritter działa mi na nerwy.

— To przecież była moja wina — zaprotestowała, tuląc się jeszcze bliżej do niego.

— Nie całkiem. Nie mam do ciebie pretensji. Od pierwszego spotkania z nim narastała we mnie niechęć. Na szczęście kończymy niedługo wspólne interesy i nie będę musiał mieć z nim więcej do czynienia.

— A wiesz, co mi powiedział? — Dorothy poczuła znów przypływ wzburzenia, opowiadając, co zaszło po wyjściu Barrona. Barron roześmiał się i całe zajście nabrało zupełnie innych wymiarów.

— Dobrze, że kontrakty są już podpisane. Jutro wracamy do domu. Będziemy mieli dość czasu, żeby zapomnieć o tym Drakuli. — Cieszę się, że nie obwiniasz mnie za popsucie ostatniej nocy w Niemczech — powiedziała.

— Nie... Ale posłuchaj... Powinnaś wiedzieć, że bardzo cię lubię, i dobrze mi się z tobą pracuje — mówił bardzo powoli, jakby wbrew sobie. — Ale jest jeszcze Shelley. Dorothy, zrozum, jestem z nią zaręczony!

Słowa Barrona odczuła jak twarde, ostre kamienie, godzące prosto w jej serce. Jakiś wewnętrzny głos krzyczał w jej wnętrzu, buntując się na podobną niesprawiedliwość. Chcę jeszcze! Nie mam doświadczenia w miłości, ale nasze pocałunki musiały coś dla niego znaczyć!

Niedziela zapowiadała się pogodnie. Dorothy wstała wcześniej i spakowała się. Potem zeszła, na dół do kuchni, przysiadając się do Trudi, mimo jej protestów.

— Proszę cię, mam już dość tej jadalni. Poza tym bardzo miło się tu rozmawia.

— Masz rację. Wiesz, wszyscy jesteśmy po twojej

stronie — zaczęła Trudi i w krótkich słowach streściła reakcję służby na incydent.

Dorothy poczuła się lepiej, mimo, że przez całą noc nie zmrużyła prawie oka. Wiele myślała o Barronie i łączących ich uczuciach, podejmując wreszcie, jak jej się wydawało, jedyną słuszną decyzję. Będzie musiała zacząć od nowa, co oznaczało koniec nadziei na studia, przynajmniej w tym roku, ale przynajmniej jej życie prywatne uspokoi się trochę.

Jakaż byłam naiwna, próbując doszukać się uczuć, które nie istnieją. Jak 'tylko wrócimy do Nowego Jorku, składam rezygnację. Niech wie, że ja też potrafię być silna!

Spotkała Barrona, jak wychodził ze swego biura, trzymając w dłoni kartkę papieru.

— Von Ritter zostawił nam list, w którym bardzo przeprasza za swoje zachowanie. Zostawił nam do dyspozycji mercedesa, tym razem bez Fritza. To miło z jego strony. Píše, że rzuca alkohol na zawsze. Wygląda na to, że Fritz zaryzykował wiele, mówiąc mu w oczy, jak się wczoraj zachował!

Dorothy nie mogła nic wyczytać w jego twarzy. Był opanowany, jakby wczorajszego wieczoru w altanie nic między nimi nie zaszło. Miał jednak ogromną siłę woli. Wydawał się umyślnie unikać jej wzroku.

— Jednak Fritz okazał się porządnym człowiekiem. Jeżeli nadal będzie się zadawał z hrabią, może coś jeszcze będzie z tego starego dziwaka — Barron złożył kartkę. — Ale na nas już czas. — Więc ruszajmy — zawtórowała Dorothy. Cieszyła się, że przynajmniej wspomnienie' balu nie będzie już tak bardzo dokuczać.

Nadszedł czas na smutne pożegnanie ze służbą. Dorothy i zapłakana Trudi obiecywały sobie pisać długie listy. Jazda na lotnisko zajęła im tylko parę minut. Dorothy

słuchała z zapartym tchem tego, co miał do powiedzenia Barron. Był bardzo poważny. Nie próbował wyjaśniać, dlaczego ją pocałował, poprosił ją tylko o wybaczenie, zapewniając ją, że coś podobnego więcej się nie powtórzy. Dokładnie opisał ich przyszłe stosunki w pracy — chodziło mu głównie o spotkania czysto służbowe i o zachowanie dystansu.

— Czasami wydaje mi się, że jesteśmy jak dwa związki chemiczne — wszystko jest w porządku, kiedy są od siebie daleko, ale jeżeli zbliżyć je trochę — bum! I coś zaczyna iskrzyć! — zakończył.

Rozumiała go aż za dobrze, jednak była zadowolona, że zrzucił wreszcie maskę chłodnego, obojętnego mężczyzny, którą przybrał w zamku.

Dorothy zaproponowała rozwiązanie, które przemyślała w nocy. Gdy powiedziała na głos, co myśli, spojrział na nią ze zdziwieniem.

— Nie ma mowy, nie odejdiesz. Poza tym komisja i tak nie przetrwa długo. Zbyt dobrze się spisujemy i można powiedzieć, że podcinamy gałąź, na której siedzimy. A z czego opłacisz studia? — Uderzył w koło kierownicy dla dodania słowom większej wagi. — Nie! Jestem pewien, że poradzimy sobie z tym jak dwoje dorosłych ludzi.

Dorothy siedziała cicho, nie zaprzeczając. Bardzo chciała mu wierzyć.

11

Dorothy stanęła koło taśmociągu z bagażami, mając nadzieję wkrótce odebrać swój. Wreszcie zauważyła: wielka, jasnoczerwona skórzana walizka, którą podarowała jej służba z zamku jako pożegnalny prezent. Miała zamiar mieć ją zawsze blisko przy sobie, by przypominała jej miłe dni spędzone w Niemczech. Barron przed chwilą wyszedł złapać taksówkę, pozostawiając jej zajęcie się bagażami.

Podróż powrotna nie była tak lekka i przyjemna jak pierwsza z powodu pomyłki w rezerwacji miejsc. Barron zdecydował, że nie będą czekać na drugi samolot i pojedą jak zwykli pasażerowie. Musieli siedzieć osobno, ale nie miało to znaczenia, bo Barron i tak spał przez większą część drogi.

W chwili, gdy ściągała ostatnią sztukę bagażu z taśmy, w środku pojawił się Barron z bagażowym, który zaczął wkładać je do bagażników dwóch samochodów. Dorothy nie dane było zapytać, po co im dwie taksówki, bo znienacka otoczyła ich grupa reporterów, świecąc im w twarz oślepiającym światłem reflektorów. Dziennikarze najwidoczniej byli dobrze przygotowani przez biuro prasowe burmistrza, bo nie zadawali niewygodnych pytań, a w innych starali się, by Barron dobrze wypadł.

— I ostatnie pytanie, panie Armour — krzyknął jeden z bardziej dociekliwych reporterów. — Czy to prawda, że pańska misja zakończyła się znaczącym sukcesem i że pan jest jedynym człowiekiem, który mógł tego dokonać?

Barron uśmiechnął się skromnie, nim udzielił odpowiedzi, która Dorothy wydała się zbyt dobrze wyćwiczona, by być szczerą.

— Tak, nie sędzę, żeby burmistrz przesadzał w tym względzie, ale rzecz jasna, nie zrobiłbym wszystkiego sam. Biura burmistrza na miejscu bardzo przyczyniły się do sukcesu misji — mówiąc te słowa, położył dłoń na ramieniu Dorothy i uśmiechnął się. — A poza tym miałem do pomocy niezawodną pannę Eaton.

Światła zgasły i reporterzy poszli w swoją stronę. Dorothy podziękowała Barronowi, potem zapytała:

— Po co nam dwie taksówki? Nie byłoby taniej pojechać do miasta jedną?

— Racja, ale muszę jechać prosto do burmistrza, żeby mu zdać sprawozdanie z przebiegu wizyty. Nie ma sensu, żebyś się włóczyła po pustych korytarzach i czekała na mnie. Nie wiem, kiedy skończę.

Podał Dorothy trochę pieniędzy.

— Dlaczego nie miałabyś sobie wziąć jutro wolnego i odpocząć? Bardzo się napracowałaś i należy ci się — powiedział.

Dorothy wsiadła do taksówki, odprowadzana obojętnym spojrzeniem Barrona, który trzymał drzwi, nie zamykając ich jeszcze.

— Nie mamy się czego obawiać, Dorothy... o ile oboje będziemy pamiętać o naszej umowie — z tymi słowy odwrócił się, zatrzasnął drzwi i poszedł do swojej taksówki.

W domu czekała na nią Marion, uradowana powrotem dziewczyny. Dorothy zastanawiała się, skąd mogła wiedzieć, o której przyjedzie. Okazało się, że tego dnia

spotkała w muzeum Shelley Britt i ta powiedziała jej, kiedy przyleci Barron. Mimo przypomnienia Shelley, Dorothy była w siódmym niebie. Obie na przemian śmiały się, i mówiły, przerywając sobie wzajemnie. Dorothy pokazała jej swoje nowe stroje, przywiezione z Europy, a nawet parę z nich przymierzyła. Marion była pełna zachwytu, a gdy zobaczyła jej bieliznę, obie o mało nie oszalały ze śmiechu. Marion podniosła do światła delikatną tkaninę.

— Musiały kosztować masę pieniędzy, ale materiału w nich niezbyt wiele. Czy w ogóle je nosiłaś?

Gdy Dorothy przyznała, że tak, rozweseliły się jeszcze bardziej. Potem Marion opowiedziała jej, co nowego zdarzyło się w mieście, a dziewczyna z radością opowiedziała jej o wszystkim, co zobaczyła i nauczyła się w Niemczech, o tym, co zwiedziła, o podróżach, locie samolotem nad Atlantykiem, a gdy wspomniała o hrabim von Ritterze i przygodzie na balu, znów się roześmiały. Marion była parę lat wcześniej w Europie, lecz z zafascynowaniem słuchała o zmianach, jakie tam zaszły.

Nagle Dorothy zerwała się na równe nogi.

— O mało bym nie zapomniała! Barron udzielał dziś wywiadu na lotnisku! — Włącz telewizor, pospiesz się. Może będzie w wiadomościach.

Rzeczywiście, pod sam koniec programu, tuż przed sportem i pogodą, nadano wywiad z Barronem, u boku którego stała Dorothy. Marion wykrzyknęła z zachwytu, zadowolona z komplementu, jakim uraczył dziewczynę Barron. Dorothy była zaskoczona swoim widokiem w telewizji, bo nie całkiem odpowiadał jej wyobrażeniom o sobie, lecz stwierdziła, że prezentuje się całkiem dobrze.

Wreszcie koło północy zeszła na dół i otworzywszy szeroko okno, by wpuścić trochę chłodnego powietrza

położyła się, powoli dochodząc do siebie po przeżyciach związanych z wyprawą.

Obudziła się wcześniej, nie całkiem wypoczęta, gdyż różnica w czasie dawała jeszcze o sobie znać. Usiadła na łóżku i przyjrzała się swemu mieszkaniu, przypominając sobie, co ma do zrobienia. Pranie, sprzątanie... Nie miała na nic ochoty, więc zdecydowała wszystko odłożyć na później. Postanowiła poświęcić cały dzień na wypoczynek. Od razu poczuła się lepiej, gdy podjęła taką decyzję, jednak trochę ją to zastanowiło, gdyż przedtem, ilekroć wymyśliła coś podobnego, jakiś wewnętrzny głos wypominał jej marnowanie czasu.

Postanowiła zatelefonować do Marty. Gdy wykręciła jej domowy numer telefonu, zorientowała się, że tamta nie miała przecież wolnego dnia, jak ona. Zawahała się przez moment, nim wykręciła numer do pracy. Postanowiła, że gdy odbierze ktoś inny, odłoży słuchawkę.

Nie musiała się martwić, bo właśnie rozległ się znajomy głos: — Komisja burmistrza, czym mogę służyć? Dorothy zniżyła głos do szeptu i zapytała, siląc się na niemiecki:

— Szy to *frdulein* Green?

— To ty, Dorothy! — zawołała wesoło Marty, która nie dała się zwieść.

— Cicho! Wszyscy się dowiedzą, że wzięłam dzień wolnego.

— Nie martw się, nikogo nie ma w biurze. Shelley gdzieś się włóczy, jak zwykle. Jak to miło znów cię słyszeć!

— Cieszę się, że już wróciłam. Tyle mam ci do opowiedzenia, że wprost nie mogę się doczekać.

— Musisz mi opowiedzieć wszystko, godzina po godzinie.

Oczywiście kiedy ty bawiłaś się w Europie, ja musiałam odwalać czarną robotę. Prawdę mówiąc, jes-

tem teraz cała brudna. Aha, widziałam cię wczoraj w dzienniku!
— Tak? Jak wyglądałam?

— Nieźle. Nie całkiem byłeś w sosie, wyczułam to, ale poza tym w porządku. O mało się przy tym nie zakrztusiłam! Miałam zaraz do ciebie zadzwonić, ale przypomniałam sobie, która godzina i pomyślałam, że pewnie już śpisz.

— Szkoda, że nie zadzwoniłaś, ale możemy umówić się na jutro
— zaproponowała Dorothy.

— Pewnie. Ale muszę cię ostrzec. Stara Skorupa jest z powrotem w mieście. Bądź przygotowana na najgorsze. Od czasu, kiedy się dowiedziała, że we dwójkę z Barronem pojechaliście do Niemiec, nie może sobie znaleźć miejsca. To ona miała tam jechać. Próbuje się zachowywać, jakby się nic nie stało, ale wszyscy w biurze widzą, że aż się zwija z zazdrości o Barrona Armoura. W tej sprawie nie zaufałyby nawet własnej matce. Odgrywa się na nas. Na domiar złego, jej wyprawa do Puerto Rico nie udała się. Uważaj na nią.

Dorothy podziękowała jej za ostrzeżenie.

Gdy następnego dnia pojawiła się w pracy, czuła, że w jej życiu otwiera się nowy rozdział. W biurze przywitał ją trzymany przez Marty i Darleen transparent z napisem „Witaj w domu!” Inni wydawali się zazdrościć jej powodzenia, jednak Dorothy nie miała do nich o to żalu. Na wstępie dowiedziała się, że Shelley wyszła, usadowiła się więc za swoim biurkiem i przygotowała do pracy, jednak większość czasu zeszła jej na dzieleniu się z koleżankami wrażeniami z Europy.

Pod koniec dnia z Dorothy opadł cały strach przed powrotem, prawdę mówiąc nie przypuszczała, że tak będzie tęsknić za koleżankami.

W środę było już nieco inaczej. Shelley od razu we-

zwała ją do siebie. Na domiar złego musiała usiąść na niskim fotelu, bo na wysokim leżał cały stos papierów.

Czyżby Shelley zrobiła to umyślnie? Najwyraźniej nie była w sosie. Zawsze starannie uczesana, zadbana i umalowana,, dzisiaj zupełnie nie przypominała siebie. Widać było, że zazdrości Dorothy sukcesu. Za każdym razem, gdy Dorothy próbowała wtrącić choć słowo wyjaśnienia, Shelley przerywała jej.

— Za tę pomyłkę powinnaś była wylecieć. Ja bym cię wyrzuciła, ale pan Armour stanął w twojej obronie — na dźwięk tego imienia, w jej oczach pojawiły się złe błyski. — Nie wiem, co on w tobie widzi ani co powiedział burmistrzowi, dość, że ten przystał na jego propozycję i tyle. Poza tym weszłaś na moje miejsce na delegację do Europy. Najgorsze, że...

Dorothy próbowała wytłumaczyć, że przecież nie miała z tym nic wspólnego, że decyzję podjął ktoś inny.

— Ależ Shelley...

— Od tej chwili jestem panna Britt, panno Eaton! Ja tu jestem szefem i póki jestem, nie będziesz sobie urządzać wycieczek moim kosztem. Widziałam cię w telewizji z Bar-ronem. Cały czas bardzo pozytywnie wyraża się o tobie z czysto zawodowego punktu widzenia, ale jeżeli będę miała powód, by przypuszczać, że coś się za tym kryje, pożałujesz dnia, w którym się spotkałyśmy. — Złe, pełne nienawiści spojrzenie przekonało Dorothy, że mówi prawdę.

Dziewczyna wyszła z biura nie mogąc pozbierać myśli. Była zła na Shelley za to, co powiedziała, ale równocześnie czuła się trochę winna tego, co zaszło między nią i Barronem. Unikała Marty, nie wiedząc jak jej wytłumaczyć, co zaszło. Dlaczego wszystko tak nagle zaczęło się komplikować?

Mijały tygodnie. W mieście, w samym środku lata, zrobiło się nieznośnie gorąco. Dorothy dotrzymując słowa

danego Barronowi starała się mu nie narzucać, dzięki czemu w pracy nie była narażona na wybuchy ze strony Shelley.

Większość swego wolnego czasu spędzała nad książkami, które pożyczył jej Barron, chodziła też często do bibliotek, wiedząc, że musi się jak najlepiej przygotować do egzaminu. Ilekroć zainteresował ją jakiś temat miała wrażenie, że odkrywa całe mnóstwo nowych rzeczy, dopiero później przypominała sobie to, co mówił jej ojciec. Nie mogła oprzeć się uczuciu wdzięczności dla człowieka, który tak mądrze wybrał jej przyszły zawód.

Pewnego dnia nadszedł list od Trudi, która pisała, że hrabia sprowadził się na stałe do zamku i wydawał się być zupełnie odmienionym człowiekiem. Z całą pasją zajmował się jego odnawianiem i wyglądał na bardzo szczęśliwego. List ten odświeżył wspomnienia miłych chwil spędzonych w zamku wśród gościnnych ludzi. Od czasu do czasu pojawiała się w prasie nazwa firmy, z którą uzgadniali z Barronem warunki kontraktu i cieszyła się, że miała swój udział w jej tu sprowadzeniu. Żyła raczej skromnie. Jedynym poważniejszym wydatkiem był czynsz, płacony Marion, wydatki na taksówki i lunch. Podwyżkę, którą dostała w lecie od razu wpłaciła do banku z myślą, że zapłaci z niej za pierwszy semestr studiów.

W pracy było spokojnie. Shelley wydawała się puścić w niepamięć wszystkie urazy i powierzyła jej nowe obowiązki.

Miała teraz sporządzać dla burmistrza opracowania na podstawie danych, których dostarczała jej Shelley. Mimo to, cieszyła się z dodatkowej pracy, bo chciała pokazać swojej szefowej, że potrafi z nią współpracować. Była zadowolona, że Shelley dostarczała jej dane, bo sama niezbyt rozumiała się na cyfrach, które ich dotyczyły.

Nie miała kłopotów z dotrzymaniem słowa Barronowi. Nie widziała go wcale przez lato, z wyjątkiem jednego

przypadkowego spotkania w windzie. Oboje spojrzeli wtedy każde w inną stronę, nie odzywając się do siebie. Dorothy ulżyło, lecz wiedziała, że nie jest sama przed sobą szczerą. Martwiła się utratą człowieka dla siebie życzliwego, nawet jeżeli jego obecność była poniekąd prowokująca. Do momentu, gdy usłyszała przypadkiem o tym w czasie lunchu, nie miała pojęcia, że udał się z burmistrzem na jakąś bardzo ważną misję do Waszyngtonu. Uśmiechnęła się do siebie. Czas leczy wszelkie rany. Wiadomość ta nie zrobiła na niej szczególnego wrażenia. Kiedyś na samo wspomnienie jego imienia ciarki przelatowały jej po grzbiecie.

Następnego dnia po przyjściu do pracy zauważyła, że w biurze panuje dziwne podniecenie.

— Co się dzieje? Jakaś poważna sprawa? — zapytała.

— Nie wiesz? — Marty była zaskoczona. — Całe biuro huczy o tym od samego rana. Mówią, że komisja zebrała się na nadzwyczajnym posiedzeniu w gabinecie pana Armoura.

— U niego? Podczas jego nieobecności? — Dorothy była zaskoczona.

— Sama widzisz. Ale zebrali się wszyscy. Darleen siedzi tam przy telefonach, może coś nam powie, kiedy zejdzie.

Dorothy wróciła do pracy, mając niejasne przeczucie, że zebranie miało coś wspólnego z opracowaniami, których była autorką. Jej przeczucia potwierdziły się, gdy zadzwoniła Darleen.

— Jest pani proszona o stawienie się przed komisją, panno Eaton — ton głosu Darleen dawał do zrozumienia, że ktoś jest z nią w pokoju.

— Zaraz będę — odpowiedziała z pewnością siebie, której akurat w tej chwili tak bardzo jej brakowało.

Wychodząc wzięła ze sobą torebkę, bowiem zbliżała się

przerwa na lunch i miały się spotkać z Marty przy wyjściu. Po drodze na górę miała nadzieję, że Shelley też będzie na zebraniu. Jeżeli sprawa ma jakiś związek z jej opracowaniami i sprawozdaniami, wołała, żeby to właśnie ona zajęła się tłumaczeniem niejasności. Przybywszy do biura, uśmiechnęła się do Darleen. Miała właśnie zamiar zapytać ją, czy czegoś nie wie, gdy otworzyły się drzwi i członkowie komisji wyszli na zewnątrz, rzucając jej dziwne spojrzenia.

Dorothy zdziwiła się. Najpierw mnie proszą, a teraz wychodzą? Coś tu jest nie tak.

— Proszę wejść, panno Eaton — powiedział Alex Keyer, siedzący za biurkiem Barrona. Był szefem komisji na czas nieobecności Bartona. Wysoki, przygarbiony, całym swoim wyglądem potwierdzał swą reputację znawcy prawa. Nie wstał na jej powitanie, ale Dorothy nie poczuła się urażona, bowiem był od niej starszy i miał wysokie stanowisko. Drugą osobą w gabinecie była Shelley. Dorothy uspokoiła się na jej widok. Nie były przyjaciółkami, ale dobrze było widzieć znajomą twarz blisko siebie. Shelley wydawała się powstrzymywać uśmiech, cisnący się na usta. Dorothy usiadła. Keyer spojrzał na nią smutnym wzrokiem i zaczął:

— Panno Eaton, niedawno zauważyliśmy, że sprawozdania i opracowania, które pani nam przysyła, zawierają wiele nieścisłości i pomyłek. Dorothy nie wierzyła własnym uszom. Szybko spojrzała na Shelley, lecz jej twarz nie wyrażała niczego.

— Komisja poświęciła temu wiele uwagi i czasu... O czym on mówi? zastanawiała się Dorothy. Chciała, żeby jak najprędzej doszedł do rzeczy. O ile dobrze rozumiała, oskarżał ją o nadsyłanie umyślnie sfałszowanych sprawozdań.

— ... Biorąc pod uwagę fakt, że owe opracowania są pani autorstwa, musieliśmy zrewidować nasze stanowisko

wobec wcześniejszego incydentu z panem burmistrzem, choć nie bardzo rozumiem, dlaczego miałyby pani coś takiego zrobić. Niemniej jednak sprawozdania mogły wprowadzić komisję w błąd, co bardzo drogo kosztowałoby miasto.

Dorothy była zaskoczona. Dlaczego Shelley nic nie mówi?

Dlaczego nie wyjaśni, o co w tym wszystkim chodzi? Spojrzała na nią i w ułamku sekundy zdała sobie sprawę, że z jej strony nie może oczekiwać pomocy. W ułamku sekundy przypomniała sobie jej wcześniejsze ostrzeżenia, że przytnie jej skrzydeł. Więc nadchodził czas zemsty.

— ... w takiej sytuacji jedynym rozwiązaniem wydało nam się zwolnić panią w trybie natychmiastowym.

Zwolnić... słowa te dźwięczały, odbijając się echem w jej uszach. Co za niesprawiedliwość!

— ... może się pani odwoływać — brzmiał jednostajny głos Keyera. — Lecz nie radziłbym pani, bo nie sądzę, żeby coś pani tym osiągnęła.

Dorothy nie pamiętała, jak wyszła z budynku Rady, czuła tylko wszechogarniający wstyd i upokorzenie. Cała aż płonęła z gniewu. Nie mogła spojrzeć w oczy mijanym ludziom, jakby wszyscy znali jej straszliwa tajemnicę. Nie obroniła się. Ale próbowała, i to jak! Tłumaczyła, jak mogła, wyjaśniała, podawała argumenty, cytowała fragmenty raportów. Nie słuchano jej. Pułapka została zastawiona, trucizna zadana przez Shelley przełknięta gładko. Wszyscy sprzysięgli się przeciwko niej. Ciągle miała przed oczyma zwycięski uśmiezek na twarzy Shelley Britt.

12

Przez wiele dni Dorothy walczyła z rozpaczą, mając nadzieję, że komisja wreszcie przejrzy i naprawi swój błąd. Lecz nic takiego się nie stało. Przekonana, że opuściło ją szczęście, straciła chęć do walki i opuściła ją resztką wiary w siebie.

W stanie lekkiego szoku, Dorothy zaczęła życie bez celu. Przygasła, straciła całą swą siłę życiową, bodźce do walki, ambicję, a nawet zainteresowanie prawem. Nie starała się znaleźć nowej pracy, cierpiała więc na nadmiar czasu do zabicia. Całymi godzinami chodziła po okolicznych ulicach, czując się bardzo samotna. Jakby wycofała się w głąb siebie. Mimo iż była świadoma tego, że to nie jej wina, że stała się ofiarą zmywy, robiła sobie wyrzuty, iż w pewnym sensie zawiodła ojca.

Nierzadko nie odpowiadała nawet na telefony. Kiedyś nadszedł do niej ostatni czek z pensją, na którym widniał dopisek Marty, z propozycją spotkania i pytaniem, czy Dorothy mogłaby wyjaśnić wreszcie okoliczności swego tajemniczego zwolnienia. Marty dodawała, że zawsze pozostanie po jej stronie. Dorothy nie odpowiedziała.

Mijały dni. Żyła dalej w swym świecie pełnym bólu i beznadziei. Czasami zapominała nawet o posiłkach i wy-

glądało na to, że zaczyna tracić na wadze. Pewnego dnia, podczas spaceru, usiadła na ławce w parku. Osoba, która siedziała tam poprzednio zostawiła na niej gazetę. Z pierwszej strony spojrzała na nią twarz Barrona, a dopisek pod zdjęciem informował, że wciąż jest w Waszyngtonie. Żałowała, że nie może go poinformować o tym, co się stało, ale zdecydowała, że najlepiej było pozostawić tę sprawę własnemu biegowi. Prawdopodobnie nie wiedział nawet, co zdarzyło się w czasie jego nieobecności. Ale to właśnie ich wzajemna bliskość ściągnęła na jej głowę zemstę ze strony Shelley.

Marion bardzo martwiła się stanem dziewczyny. Współczuła Dorothy i zdecydowała, że nie może po prostu stać z boku i przyglądać się beczynnie. Musiała coś zrobić! Próbując wszystkiego, postarała się jej o kilka ofert pracy, lecz na wszystko dziewczyna odpowiadała, że jeszcze nie teraz, że nie jest gotowa. Po raz pierwszy nie udawało się jej rozchmurzyć swej podopiecznej. Sądziła, że może potrzebuje towarzystwa mężczyzny, ale ilekroć jakiś ze znajomych pojawiał się w domu, niby to przypadkiem, Dorothy zawsze znalazła pretekst, by wyjść. Doceniała starania Marion, ale nie czuła się jeszcze na siłach stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością.

Marion zastanawiała się, czy nie powinna opowiedzieć o wszystkim Barronowi, bo wiedziała, że nie zdawał sobie sprawy z tego, co zaszło naprawdę, i jako człowiek o nieposzlakowanej prawości nie pozwoliłby na to, żeby niesprawiedliwość zwyciężyła. Jednak wiedziona instynktem Dorothy wyczuła coś i pod żadnym pozorem nie pozwoliła jej mieszać Barrona do tego. Od ponad dwóch tygodni Dorothy nie otwierała skrzynki na listy. Gdy wreszcie zdecydowała się to uczynić, na podłogę wypadł cały ich stos. Większość z nich były to jakieś reklamy, które szybko powędrowały do kosza.

Otworzyła kopertę ze złożonymi brzegami. Było to zaproszenie na przyjęcie i wystawę malarstwa.

Ach, ta Marion! Zawsze próbuje coś wymyślić. Jest dla mnie taka dobra, ale czy nie mogłaby zostawić mnie w spokoju? Skoro sama nie potrafię zdecydować co zrobić z moim życiem, jak może oczekiwać ode mnie, że będę w dobrym humorze?

Jakby na wezwanie, rozległo się głośne pukanie do drzwi i znajomy głos:

— To ja, Marion. Wpuść mnie. Dorothy otworzyła i wróciła na kanapę.

— Widzę, że wreszcie zdecydowałaś odebrać pocztę. To dobrze. A teraz posłuchaj mnie uważnie. To przyjęcie jest jednym z najważniejszych w tym roku w mieście, a dla mnie podwójnie, bo jest połączone z wystawą moich prac. Bardzo wiele dla mnie znaczy twoja tam obecność. Każdy, kto cokolwiek znaczy w tym mieście, będzie obecny. Głupio mi tak mówić, ale jesteś mi to winna. — Dobrze, pójdę, ale tylko dla ciebie. — Dorothy zgodziła się niechętnie.

Marion, sądząc, że nic tak nie podnosi kobiety na duchu, jak rozmowa o ciuchach, zaproponowała:

— Choć, zobaczymy, w co mogłabyś się ubrać. Nie udało się.

Przeglądając szafę natrafiły na dwie

suknie, kupione jeszcze w Niemczech. Srebrna była jeszcze pomięta, niewyprasowana po powrocie z Niemiec. Na wieszaku

towarzyszył jej smętnie wiszący diadem, a wszystko razem

sprawiało wrażenie, jakby księżniczka przemieniła się nagle w

kopciuszka. Dorothy przypomniała sobie, że jej ostatni występ na przyjęciu bynajmniej nie należał do udanych, ale zgodziwszy - się

raz, głupio jej było odmawiać Marion.

Przyjęcie odbywało się w sali bankietowej Muzeum Sztuki

Współczesnej. Dorothy nie mogła się oprzeć wraże-

niu, że jest ono większą, choć trochę mniej ozdobną repliką sali na zamku koło Heidelbergu. Zaraz po przyjeździe, będąca w znakomitym humorze Marion ruszyła przez salę, wymieniając pozdrowienia z wieloma ludźmi, obecnymi na sali. Dorothy nie chciała znajdować się w centrum uwagi i schowała się w kącie, za wielką paprocią. Czowała, że stamtąd będzie mogła obserwować wszystko, co dzieje się na sali, sama pozostając niewidoczną. W złotej sukni było jej nadzwyczaj do twarzy, a poprzedniego dnia Marion zdążyła jej kupić w prezencie pantofle do kompletu. Na jej tle rude włosy dziewczyny lśniły niepowtarzalnym blaskiem, lecz Dorothy nie zdawała sobie sprawy z tego, jak pięknie wygląda.

Marion, odnalazłszy ją w kącie, zaproponowała, by spróbowała czegoś z bufetu, lecz dziewczyna tylko przebierała sztuczkami, markując zainteresowanie zakąską. Jedyną rzeczą budzącą żywsze bicie jej serca była muzyka. Marion sprowadziła najlepszą orkiestrę w mieście, która jak dotąd grała pod gusta starszej widowni, przypominając melodie z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Nie przeszkadzało to Dorothy, której ojciec posiadał dużą kolekcję płyt z tego okresu, dzięki czemu zdążyła polubić te melodie.

Wieczór, spędzany w narzuconej izolacji, dłużył się Dorothy niemiłosiernie. Stopy zaczynały ją boleć od stania w nowych pantoflach, a nie miała ochoty tańczyć, choć orkiestra zaczynała właśnie grać żywego rock and rolla. Marion co jakiś czas przychodziła do niej z czymś do jedzenia, z nową plotką lub z kimś, kogo powinna spotkać. Wbrew sobie musiała przyznać, że radość życia Marion zaczynała jej się powoli udzielać. Teraz nadchodziła znowu, najwyraźniej czymś bardzo ucieszona.

Uściskała dziewczynę i szepnęła jej do ucha:

— Sprzedałam właśnie pięć obrazów. Czy to nie cudowne?

Dorothy cieszyła się razem z nią i uśmiechnęła się po raz pierwszy od wielu dni, zarażona entuzjazmem przyjaciółki.

— Poczekaj tu chwilę, zaraz znów do ciebie przyjdę. Dorothy zaczynała zwracać uwagę na tancerzy, którzy przedtem wydawali się zasłonięci nieprzejrzystą mgłą. Po chwili znów dostrzegła Marion zmierzającą ku niej szybkim krokiem. Cieszyła się, bo jej humor wreszcie zaczynał się poprawiać, lecz wyraz twarzy artystki zwiastował coś niedobrego.

— Bardzo mi przykro, kochana. Sama nie wiem, jak to się stało. Myślałam, że nic takiego nie może się zdarzyć, a jednak...

— Powiedz mi wreszcie, o co chodzi — przerwała jej Dorothy. Kobieta wzięła głęboki oddech, jakby dla dodania sobie odwagi i wyrzuciła z siebie:

— Shelley Britt jest tutaj.

Dźwięk imienia był jak cios, ale Dorothy w mig pozbierała się. Nie mogła się przecież ukrywać przed nią przez całe życie.

— Nie martw się, Marion. Jakoś sobie poradzę.

— Mam nadzieję, moja droga, że jej widok nie wpędzi cię znów w depresję. Wiem, że nadal masz do niej żal. Zaraz wracam, nie chcę, żebyś zbyt długo była sama — powiedziała Marion, słysząc swe imię powtarzane przez kogoś z drugiej strony sali.

Może potrzebowała właśnie wstrząsu wywołanego imieniem Shelley, bo zaczęło się w Dorothy budzić nowe życie. Nagle zdecydowała, że napisze list do Barrona, do Waszyngtonu, wyjaśniając jak sprawa wygląda z jej punktu widzenia. Wszystko jedno, czy przyjmie je czy nie, przynajmniej spróbuje oczyścić się w jego oczach. Wyszła ze swego bezpiecznego schronienia zza ogromnego kwiatu.

Podeszła bliżej do ludzi tańczących na parkiecie. Nie pozwolę, żeby Shelley cieszyła się, jak się chowam za innych, pomyślała biorąc lampkę szampana od przechodzącego kelnera. Właśnie w tej chwili skrzyżowały się ich spojrzenia. Dorothy zacisnęła zęby, zmuszając się do słodkiego uśmiechu, zaś twarz tamtej zionęła niepohamowaną nienawiścią.

Dorothy z uśmiechem, który nie opuszczał jej twarzy, zwróciła się do młodego mężczyzny.

— Czy zatańczy pan ze mną? — zapytała, myśląc, że teraz Shelley będzie się miała na co popatrzeć.

Mężczyzna, zaskoczony poropozycją od tak pięknej damy, o mało nie zakrztusił się szampanem, lecz w jego oczach wyraźnie było widać, że ma tego dnia niesłychane wprost szczęście.

Dorothy odrzuciła głowę do tyłu ze śmiechem. Wiedziała, że jej partner może sobie pomyśleć, że to z niego się śmieje, ale chciała dać Shelley poznać, jak dobrze się bawi. Zaskoczony chłopak nie bardzo radził sobie z fokstrotem, od czasu do czasu nadeptując jej na palce, lecz po skończonym tańcu zapewniła go, że jest znakomity.

Wtedy zabrzmiał tusz orkiestry. Do mikrofonu podszedł mężczyzna, który wcześniej zawołał Marion i zapowiedział:

— Panie i panowie. Jak wiecie, dzisiejsze nasze przyjęcie wydane jest ku czci pani Marion Weathers, znakomitej artystki, która żyje i tworzy w naszym mieście. Sam nie potrafię oddać hołdu kobiecie, której prace rozślawiają nasze miasto. Jest jednak osoba, która to potrafi — tu podniósł głos i wskazał dłonią na prawą stronę sali. — Przedstawiam państwu znakomitego prawnika, szefa komisji burmistrza, przybywającego prosto z Waszyngtonu — pan Barron Armour! Bardzo proszę! Przystojny i jak zawsze znakomicie się prezentujący

Barron Armour podszedł do mikrofonu i złożył gratulacje Marion. Jego widok sprawił, że serce Dorothy znów zaczęło bić bardzo intensywnie i zapragnęła bardziej niż kiedykolwiek, by poznał prawdę. Musi powiedzieć mu teraz! Zaczęła przeciskać się do przodu, lecz mężczyzna, z którym tańczyła, zagroził jej drogę. I stało się. Shelley dotarła doń pierwsza.

Wybiegła po schodach na podwyższenie i rzuciła się w ramiona Barrona. Było już za późno, bo po chwili Shelley obejmowała go i szeptała mu coś do ucha, żywo gestykulując, jak się wydawało Dorothy, w jej stronę. Twarz Barrona wyrażała niechęć. Dorothy nie mogła dłużej znieść tego widoku. Shelley wyprzedziła ją i udało jej się wsaczyć jad w uszy Barrona. Zrezygnowana, z poczuciem klęski, odwróciła się i oddaliła w przeciwną stronę, byle dalej od Barrona. Na zawsze.

13

Biegła przed siebie co sił w nogach, było dalej od miejsca, gdzie znajdowała się Shelley. Dopiero po kilkunastu minutach, kłucie w płucach dało znać, że już dosyć. Przystanęła i stwierdziła, że jest w nieznanym sobie części miasta. Przestraszyła się nie na żarty. Zatrzymała taksówkę, lecz znalazłszy się w środku przypomniała sobie, że nie ma pieniędzy na jej opłacenie. Kierowca, starszy mężczyzna, spojrział na nią ze zdziwieniem, lecz zgodził się odwieźć ją do mieszkania i poczekać na pieniądze.

W domu Dorothy przebrała się i weszła do apartamentu Marion, która dała jej kiedyś klucz, na wszelki wypadek, jak powiedziała. Potrzebowała czasu i chwili spokoju, żeby przemyśleć swe dalsze postępowanie. Ze smutkiem stwierdzając, że naśladuje reakcje zranionego zwierzęcia, usiadła skulona w kłębek w swym ulubionym fotelu. Przypomniała sobie wszystkie miłe chwile spędzone w mieście: przyjaźń Marion, spotkanie Marty Green, beztrudne chwile, spędzone z nią na plotkach, wszystko co razem widziały, gdzie były i krótkie chwile czułości z Barronem Armourem. Uśmiechnęła się, gdy pamięć przywiodła jej na myśl szaloną scenę w windzie i ich pierwszy pocałunek. Przebiegł ją dreszcz na wspomnienie trzasku walącego się

drzewa w Vermont i rozpląkała się, gdy ich usta rozdzieliły się na zawsze w altanie na zamku.

Trzeba jednak było oddać sprawiedliwość i drugiej, nie tak jasnej stronie życia, a zwłaszcza okropnej Shelley Britt. Podstępna intrygantka, nie wahająca się przed oszczerstwem byle tylko zemścić się na rywalce i nie dać jej żadnych szans obrony! Niech diabli porwą tę kobietę!

Głośne pukanie do drzwi przerwało rozmyślenia dziewczyny. Trzy godziny minęły jak mgnienie oka. Wstała, zgadując, że Marion pewnie zapomniała kluczy. Otworzyła drzwi i ujrzała... Barrona.

Na widok dziewczyny, kamień spadł mu z serca.

— Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało! Wszędzie cię szukałem! Dorothy cofnęła się o krok, wpuszczając go do środka.

— Możesz już przestać szukać, jestem tutaj cała i zdrowa.

Kolejna twoja misja zakończyła się sukcesem.

— Muszę ci coś wyjaśnić...

— Nie! Nie chce słuchać żadnych wyjaśnień! Nic! Jestem już dorosła i nie musisz mi się tłumaczyć ze swoich uczuć.

Zamierzam wyjechać do domu i nikt mnie nie powstrzyma!

Twoja narzeczona będzie musiała sobie znaleźć kogoś innego.

Mam powyżej uszu jej zachowania — Dorothy gestykulowała zawzięcie, chodząc tam i z powrotem po pokoju.

Barron zbliżył się do niej, wziął za ręce i posadził na fotelu.

— Teraz ty posłuchaj mnie przez chwilę. W tej chwili Shelley wysłuchuje od Marion tego, co powinna usłyszeć już dawno.

Dziś wieczorem dowiedziałem się o tym, jak postąpiła za moimi plecami. Tego było już za wiele. Względy rodzinne przemawiały dotychczas za tym, żebym kontynuował ten związek, ale tym razem nie miałem wyjścia — mówił szybko, lecz Dorothy chłoneła w napięciu każde jego słowo.

— Fakt, że Shelley jest bardzo bogata, był łakomym kąskiem dla moich rodziców. Zawsze powodziło im się nie najgorzej, ale ostatnio nadeszły i dla nich ciężkie czasy. Propozycja Shelley wydawała się honorowym wyjściem z sytuacji — w zamian za pomoc moim rodzicom, ja miałem się z nią ożenić. Nie mogłem ich zawieść!

Dorothy zaczynała powoli rozumieć i opadał z niej paraliżujący bezwład, w którego okowach tak długo się znajdowała. Cieszyła się jak więzień, który w ostatniej chwili został ułaskawiony. Zrobiła gest, jakby chciała wstać, a Barron podał jej dłoń.

— Nie uciekniesz? — zapytał podejrzliwie, lecz twarz miał pogodną.

— Nie. Obiecuję.

— To dobrze, bo musimy zaplanować parę rzeczy na przyszłość. Skończyłem właśnie pracę w komisji, która jako taka została rozwiązana. Dzisiaj wieczór skończyłem też z Shelley.

Dorothy nic nie powiedziała, lecz jej serce zadrżało z radości, a wewnętrzne poczucie sprawiedliwości zostało zaspokojone.

Barron kontynuował:

— Bez względu na to, jak żyje moja rodzina, postaram się zacząć coś robić na własną rękę. Biorąc pod uwagę doświadczenie i kontakty, jakie wyrobiłem sobie podczas pracy w komisji, jestem pewien, że moja prywatna praktyka będzie się cieszyć popularnością. Gdy dodać do tego dochody z wykładów, powinno nam wystarczyć na zupełnie przyzwoite życie. Czas najwyższy, żeby rodzice też zaczęli zdawać sobie sprawę z tego, gdzie żyją — mówiąc te słowa przytulił Dorothy do siebie. — A co najważniejsze — kocham cię. Wiedziałem to niemal od początku, ale moje poczucie obowiązku, wynikające z tego, że byłem zaręczony z Shelley, zaślepiło mnie. Teraz nareszcie jestem wolny i bez przeszkód mogę ci to wyznać.

Zasywał ją gradem pocałunków, a Dorothy w poddawała się im z rozkoszą. Jakby wszystkie marzenia naraz stawały się rzeczywistością w tej samej chwili. Barron ją kocha! I jest tu, przy niej.

— Ja też cię kocham.— wyszeptała, a łzy radości spływały jej po policzkach.

— Więc wyjdiesz za mnie? — zapytał cicho.

— Czy wyjdę za ciebie...? — powtórzyła, nie dowierzając własnym uszom.

— Tak. Proszę cię o rękę, moja księżniczko z gór.

W dalszym ciągu niepewna, czy dobrze słyszy, odpowiedziała mu namiętym pocałunkiem. Przygarnął ją jeszcze bliżej do siebie, a ona, czując się spokojniejsza niż kiedykolwiek w życiu wiedziała na pewno, że otwiera się przed nią pełnia szczęścia i miłości.